EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 15 stycznia 1933 R. | NR. 3 (16)

Moralność naszych czasów

Siewcy szkodliwych iluzyj

Infamia fascista

Wyspa warjatów

Dzieci bezdomne w Ameryce

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Przegląd gospodarczy. Odgłosy.

AUTORZY: WASOWSKI, CZECZELNICKI, ROGOWICZ, BARANOWSKA, ŻYCIEŃSKI, HOCHBERG, WIELEŻYŃSKA, KORNACKI, WILECKI.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

MĄDRY USTRÓJ!

Oto znowu kilka cyfr z najaktualniejszej dziś i najbardziej wymownej rubryki — niszczenia produktów i towarów dla utrzymania ceny:

W Kanadzie spalono zgórą 2 miljony buszli pszenicy.

W Australji zabito i zakopano 800.000 sztuk zdrowych owiec.

W Meksyku oddziały wojska zniszczyły na rozkaz rządu olbrzymie ilości bananów.

W Egipcie spalono 150.000 tonn bawełny.

W Brazylji setki tysięcy worków kawy wrzucono do morza i spalono w piecach.

Rybacy bretońscy, po obfitym połowie śledzi, wrzucili 500.000 sztuk do morza.

Na granicy czechosłowackiej wrzucono do Dunaju olbrzymią ilość ogórków.

SŁUSZNE ŻĄDANIE

Dnia 30-go grudnia r. ub. wojewoda łódzki p. Jaszczołt przyjął delegację związku lokatorów i sublokatorów, który reprezentuje wielką ilość zrzeszeń pracowniczych, robotniczych, cechów i t. d. na terenie województwa. Związek złożył p. wojewodzie memorjał o konieczności obniżenia komornego, tymczasowego zakazu wykonywania eksmisji z wszelkich mieszkań, oraz rekwizycji wolnych mieszkań dla bezdomnych.

Memorjał ten stanowi dokument naszych czasów, godny najgłębszego zastanowienia.

Czytamy tam, między innemi:

„Przeprowadzone dorywczo ankiety na temat poziomu życiowego przytłaczającej większości obywateli Rzeczypospolitej Polskiej odsłaniają nieprawdopodobne dno nędzy. Według przybliżonych obliczeń *zgórą 8 miljonów obywateli w Polsce głoduje*, gdyż spożywa poniżej 1700 kaloryj dziennie.

W sprawie rekwizycji wolnych mieszkań dla bezdomnych memorjał stwierdza:

„Klęska bezdomności w miastach przybrała zastraszające rozmiary. Niewystarczające zupełnie przepisy „Ustawy o ochronie lokatorów" pozwalają na liczne eksmisje. *W samej Łodzi* według niedokładnych, skromnych obliczeń *liczba bezdomnych przekracza 40.000 osób*. Istniejące w Łodzi domy noclegowe za opłatą 15 gr. od osoby za jeden nocleg nie mogą jednorazowo przyjąć więcej niż 800 do 900 osób, pozostaje więc *40.000 osób bez dachu nad głową*. Brak słów dla opisania doli tych ludzi. Pogody ohydne, choroby szerzą się zastraszająco, głód, brak odzienia, myśli rozpaczliwe...

A jednocześnie I-sze Stowarzyszenie Właścicieli Nieruchomości m. Łodzi i województwa łódzkiego ogłasza, *że w Łodzi jest 2.000 wolnych mieszkań od 3-ch do 8-iu pokoi i liczne wolne sale fabryczne*.

W Niemczech ustawowo, przymusowo wolne mieszkania zajęte są dla bezdomnych.

Uważamy, iż u nas sprawa ustawowego zajęcia wolnych mieszkań dla bezdomnych wymaga natychmiastowego załatwienia".

Niewątpliwie, rekwizycja wolnych mieszkań dla bezdomnych powinna być bezzwłocznie zarządzona.

»BŁOGOSŁAWIONY KRYZYS«

Naczelny Lekarz Stanów Zjednoczonych, Hugh S. Cumming, w dorocznem sprawozdaniu pisze: „W ciągu ostatnich 2½ lat zdrowie publiczne stanęło na nieosiągalnej dotąd wyżynie. Biura pogrzebowe odczuwają kryzys w podwójnym stopniu. Organizacje cmentarne komunikują w swych raportach: „Od czasu utworzenia w roku 1880 Federalnego Biura Statystyki Życiowej, śmiertelność osiągnęła najniższy poziom: na tysiąc osób przypadało w ostatnim roku 11.1 śmiertelnych wypadków". Lekarze prywatni i zakłady lecznicze sygnalizują coraz mniejszy napływ chorych i spadek ilości zgonów".

„Prawdziwem błogosławieństwem „złych czasów" jest znaczny „spadek śmiertelności", radośnie oświadcza w „Brooklyn Eagle Magazine" dr. Robert Kingman. A dalej następuje swoiste wyjaśnienie przyczyn, „oryginalnością" swoją prześcigające wszelkie enuncjacje wielkich trustów i karteli, a cynizmem — najbardziej mętne elukubracje ekonomistów, usiłujących uzasadnić „planowość" obecnej ruiny gospodarczej. Oto „kwiatki" d-ra Kingmana: „Bezwątpienia żyje się teraz zdrowiej": *Ludzie nie jedzą i nie piją tak wiele, jak dawniej*, za czasów prosperity. Wówczas byliśmy zbyt rozrzutni, nietylko pod względem pieniężnym. Mniej dbaliśmy o swe zdrowie, a składowe czynniki dobrobytu: szalony pośpiech, przepych, życie beztroskie — wytwarzały choroby i przyczyniały się do wzmożenia śmiertelności".

„New York Daily News" podchwytują „świetne argumenty" lekarza. Wymieniając niektóre istotne przyczyny wzrostu zdrowotności, jak: propaganda higjeny, ciepłe zimy, opanowanie epidemij, doprowadzają logike „błogosławieństwa kryzysu" do absurdu: „*Bezrobocie przynosi odpoczynek*, pozwala korzystać ze słońca, ze świeżego powietrza; jest to przecież najlepsze lekarstwo na gruźlicę, choroby sercowe, schorzenia nerek i na wzrost ciśnienia krwi. Mniej ludzi zapada na zdrowiu z powodu przepracowania. *Nie je się i nie pije nadmiernie*". Pozatem mniej jest wszak nieszczęśliwych wypadków przy pracy, a zmniejszony ruch kołowy przyczynia się do spadku ilości przejechań".

A więc: zdrowe bezrobocie... I mniej chorych z... przejedzenia. Chorób z niedożywiania i z głodu optymitystyczni lekarze amerykańscy nie dostrzegają...

Optymizm czy cynizm?

FAŁSZYWA JASKÓŁKA

Na dwóch licytacjach w Paryżu sprzedano przed tygodniem dzieł sztuki na sumę 14½ miljonów franków: u Blumenthala na jedenaście miljonów, u Juljusza Straussa na 3½ miljona. Optymiści twierdzą, że jest to dowód poprawy sytuacji. Jeśli Paryż może zdobyć się na to, by wyłożyć 15 miljonów gotówką na dzieła sztuki, to „nie jest jeszcze tak źle na świecie". Coprawda przodowali wśród nabywców nie przemysłowcy lub handlowcy, lecz bogaty kapitalista angielski Mr. Turner, który ofiarował 350 tys. franków za portret pędzla Maneta, oraz pianista Alfred Cortot, deklarując przeszło 250 tys. franków za Renoira portret Wagnera. Był jednak wśród nabywców z tuzin ludzi, którzy wyłożyli po 100, 150 i 200 tysięcy za Degasa, Delacroix, Klaudjusza, Maneta i Renoira.

Niektóre pisma paryskie uważają tę licytację za „jaskółkę", zwiastującą bliską „wiosnę w interesach". Obawiać się jednak należy, że „jaskółka" ta jest fałszywa. Sensacyjne licytacje dowodzą tylko, że ludzie bogaci w braku nieryzykownych interesów i w obawie przed niepewną giełdą, wolą inwestować swe wolne kapitały chociażby w dziełach sztuki.

W ICH OBOZACH

Nawet w pismach reakcyjnych znajdujemy od czasu do czasu słowa trzeźwej prawdy o przełomie współczesnym. Oczywiście, słowa takie nie obowiązują tych pism w codziennych rozważaniach społeczno-politycznych, nie prowadzą do logicznych wniosków, któreby zaprzeczyły całej ideologji prasy reakcyjnej. Słowa prawdy zadźwięczą tu od czasu do czasu — niezależnie od melodji, wygrywanych stale i tradycyjnie, bez względu na to, co się dzieje na świecie.

W katowickiej „Polonji" czytamy:

„Kryzys obecny nie jest już tą perjodyczną chorobą, którą kapitalizm w formie kryzysów konjunkturalnych tyle razy już przechodził, podnosząc się z miejsca za każdym razem do nowego rozkwitu, lecz objawem tej śmiertelnej choroby, w ciągu której mogą jeszcze nastąpić okresy chwilowej poprawy, lecz z której się już do nowego życia i do pełni sił nie podniesie. Dlatego też kryzys ten nie przebiega wedle praw autonomizmu ekonomicznego, dlatego, nie kończy się mimo pewnych objektywnych objawów, które w dawnych, normalnych warunkach uzasadniałyby załamanie się kryzysu i przejście do poprawy. Zapewne, stan obecny nie może trwać wiecznie, bez zmiany. Przyjdą chwile poprawy i przyjdą nowe kryzysy, ale poprawa będzie coraz krótsza i słabsza, a kryzysy coraz dłuższe i coraz ostrzejsze. I tak w bólach i męce obecnego pokolenia, któremu przyszło żyć na przełomie dziejów gospodarczych świata, rodzić się będzie, może w ciągu długich dziesiątków lat, nowy ustrój gospodarczy..."

Nie podzielamy tego pesymizmu. Sprawa nie będzie trwała aż „dziesiątki lat". Czasy nasze są wyjątkowe również i pod tym względem: w tempie dziejowych wydarzeń.

B. minister skarbu p. Jerzy Zdziechowski, pisze w „ABC":

„Trzeba wreszcie śmiało spojrzeć w oczy rzeczywistości i zrozumieć, że najważniejszem na świecie zagadnieniem jest prawo człowieka do pracy. Wszystkie rozważania, które wychodzą z poszanowania innych praw, a zdążają do zepchnięcia tej sprawy z porządku dziennego, przygotowują zagładę ustroju, w którym żyjemy. Nasza cywilizacja poddana jest w tym kryzysie ogniowej próbie, a czy potrafi ją wytrzymać, będzie właśnie zależało od sposobu wcielenia tego prawa w życie.

Świat będzie musiał kiedyś przyznać, że u progu 1933 roku na rozstajnych drogach było jedno wymowne ostrzeżenie: tablica Międzynarodowego Biura Pracy wskazująca, że ilość bezrobotnych na całym świecie wynosi już 26 miljonów ludzi, co z rodzinami wynosi około stu miljonów istot ludzkich, pozbawionych środków do życia.

Temperatura na tym termometrze będzie miała dla przyszłych losów świata decydujące znaczenie".

MORALNOŚĆ NASZYCH CZASÓW

Ze wszystkich stron płyną dziś nauki moralne o sposobach, prowadzących ku naprawie społecznego życia. Nauka najbardziej popularna głosi, że źródło wszelkiego zła tkwi w naturze człowieka, że więc należy to źródło oczyścić z trucizny moralnej, pracować nad zmianą charakterów ludzkich.

Oto sens istotny wszelkiego moralizatorstwa, podstawowy argument kaznodziejów wszystkich wyznań, racja bytu pedagogicznej dobroczynności. Ma ta nauka wielkie zastępy swoich misjonarzy, kapłanów, proroków i piewców, nawet — bohaterów. Ma swoją literaturę, swoje drogowskazy, programy, katechizmy.

Jest w czasach dzisiejszych rzeczą ważną skonfrontowanie nauki tej z rzeczywistością społeczną.

Żyjemy w ustroju niemoralnym. W ustroju, którego podstawy przeczą elementarnym pojęciom moralności i etyki społecznej. Jeżeli zgodzimy się z tezą, że podstawą moralności społecznej jest praca, zgodzimy się również, że ustrój dzisiejszy tę podstawę nadwyrężył przez dwa potężne ciosy: pozbawiając pracy lub wynagradzając ją w sposób, nie wystarczający na minimum utrzymania. Z tą chwilą elementarna zasada uczciwości zaczyna się utożsamiać z tchórzostwem, kiedy człowiek głodny i bezdomny nie wkracza na drogę przestępstwa, albo — z bohaterstwem, kiedy ten sam człowiek woli zginąć, niż na tę wkroczyć drogę.

Niemoralnym jest ustrój, w którym sędzia nie może zadać pytania złodziejowi, czemu nie pracuje.

Niemoralnym jest ustrój, w którym niszczy się produkty i towary, podczas gdy wielomiljonowe rzesze cierpią głód i nędzę.

Niemoralnym jest ustrój, w którym znika odpowiedzialność za ten głód i za tę nędzę.

Niemoralnym jest ustrój, w którym ludzie bezdomni, pozbawieni pracy, nie mogą zająć wszystkich wolnych mieszkań i wolnych pokojów.

Niemoralnym jest ustrój, który degeneruje całe pokolenie, stwarzając armje dzieci głodnych, chorych i duchowo skarłowaciałych.

Niemoralnym jest ustrój, w którym pracowitość, uczciwość, wola i energja nie zabezpieczają człowiekowi spokojnego bytu.

Niemoralnym jest ustrój, który wyzwala w człowieku instynkty najniższe i pcha go wszystkiemi siłami na moralne bezdroża.

W tych warunkach moralizatorstwo wszelkie zakrawa na ironję, a rachuba na odmianę charakterów czy natury ludzkiej, jako na drogę wielkiej naprawy, jest optymizmem zbyt daleko posuniętym. Dodajmy czemprędzej: ratowanie rzetelne resztek moralności,

niszczonej, tratowanej, rugowanej przez kapitalizm, jest zajęciem dobrem i pożytecznem, z tego nadewszystko względu, że w ustrój nowy wkroczymy z pewnym przynajmniej zasobem wartości moralnych, które się niepomiernie wzmogą. Kto jednak w zajęciu tem widzi dzisiaj sprawę najważniejszą, kto na tę dziedzinę kładzie nacisk najsilniejszy, ten mornotrawi swój zapał czy entuzjazm, nie widzi głównych przyczyn zła, sporządza mylny rachunek. Rachunek bowiem prawidłowy wskazuje, że ustroje społeczne zmieniają się prędzej, niż natura ludzka, że wszystko dobro społeczne nabiera mocy i znaczenia przez zmianę warunków ustrojowych. Tak było przez cały ciąg dziejów ludzkich.

Gorszą, niż naiwny optymizm, jest ta obłuda plugawa, która oszukuje ludzi, handlując plastrami moralności, jakie służyć mają do zalepienia wszystkich ran społecznych. Srogi, bezlitosny los czeka tych handlarzy. „Kłamstwu Bóg nie błogosławi" — pisał Adam Mickiewicz.

Czy natura ludzka zmienia się, czy nie zmienia — to pytanie, na które odpowiedź dać mogą stulecia, albo i tysiąclecia. *Niezależnie* od tej sprawy, zmieniają się *stosunki międzyludzkie* i na tem przedewszystkiem polega postęp świata. Zmieniają się pojęcia o prawach człowieka i obywatela, rodzą się nowe przymusy dla okiełznania bestji ludzkiej.

Może natura Anglika nie zmieniła się w ciągu lat kilkudziesięciu, ale już nikt w Anglji nie skaże dziewięcioletniego dziecka na śmierć za to, że rozbiło wystawę sklepową i skradło z niej farbę, jak to było w Londynie w roku 1873-cim. Może natura Polaka nie zmieniła się w ciągu setek lat, ale naprzykład, prawo wzbraniające szlachcicowi „z kmieciem na jednej spocząć ławie" budzi dziś już tylko wesołość. Może nie myli się Gobineau, gdy powiada: „L'homme, l'animal mechant par excellence", albo Plautus w swojem „homo homini lupus", albo — odbywają się w życiu zbiorowem takie zmiany, które „wilków" poskramiają, choćby ich natury przeistoczyć nie zdołały.

W imię podstawowych zasad moralności społecznej wypatrujemy nowego ustroju, wszelako nie oczekujemy cudu, jakim byłaby gwałtowna zmiana natury człowieka. O ileż prędzej nastaną nowe warunki, w których zmieni się układ stosunków międzyludzkich.

O to dziś toczy się walka istotna.

Józef Wasowski

SIEWCY SZKODLIWYCH ILUZYJ

W stosunku do ogólnikowych zakazów Konferencji Rozbrojeniowej co do bombardowania z powietrza, wojny gazowej, bakterjologicznej i t. p. zajęliśmy stanowisko krytyczne, gdyż te zakazy, jak też wogóle idea humanizacji wojny, idea ograniczenia sposobów prowadzenia wojny są w sprzeczności z samą naturą wojny.

Z pomysłów ograniczenia swobody działań wojennych kpił złośliwie Voltaire, pisząc: „Co się tyczy prawa wojny, to nie wiem, co to jest. Kodeks zabójstwa wydaje mi się dziwacznym konceptem".

Dziwaczność tego konceptu staje się jasna, o ile chcemy się liczyć z historją, o ile zdobędziemy się na to, by patrzeć prawdzie w oczy.

Otóż z historji sztuki wojennej wynika niezbicie, że w każdej epoce sposób prowadzenia wojny jest ściśle uzależniony od techniki wojennej. Gdy zaś zapoznamy się z historją projektów humanizacji wojny, to łatwo skonstatować, iż różne zakazy dotyczą właśnie nowych zdobyczy techniki wojennej, czyli tego, co stanowi w prowadzeniu wojny „novum"; w czem każda z wojujących stron widzi najlepszy środek, umożliwiający jak najszybsze i decydujące pokonanie nieprzyjaciela. Już przez to samo, że projekty humanizacji wojny dotyczą tego, co w każdym poszczególnym okresie stanowi „duszę" nowej techniki wojennej, w czem właściwie wyraża się postęp techniki wojowania — wszelkie humanitarne zakazy zgóry skazane są na fiasco. Wprawdzie historycy prawa międzynarodowego słusznie konstatują szereg istotnych zmian w t. zw. prawie wojny, lecz bliższa analiza wykazuje, iż zmiany te nie tłomaczą się bynajmniej humanitaryzmem, lecz zmianą konceptów gospodarczych, a zwłaszcza zmianą samej techniki wojennej.

Należy przytem zauważyć, iż zadanie humanizacji wojny staje się coraz bardziej skomplikowane, gdyż technika wojenna jest coraz bardziej techniką tout court. W naszych czasach trudno jest wprost odróżnić, gdzie kończy się technika pokojowa, a gdzie zaczyna się technika wojenna.

Stąd też wzrastające znaczenie t. zw. „potenciel de guerre". Słusznie pisze angielski generał Morgan: „Istnieją trzy rzeczy, których zniszczyć nie można: człowiek, wiedza i przemysł. Rozbroić naprawdę naród wysoce uprzemysłowiony, to znaczy zniszczyć cały jego przemysł. Wojna stała się tak techniczną, tak mechaniczną, każdy większy zakład przemysłowy jest w potencji arsenałem wojennym". Aby uprzytomnić sobie wagę tych słów, należy pamiętać, iż zwykła cukrownia może być w oka — mgnieniu przekształcona w fabrykę gazów trujących, od wyrobu zaś sztucznego jedwabiu można przejść — do produkcji materjałów wybuchowych.

Słusznie też utrzymuje Amerykanin A. A. Fries, iż przemysł chemiczny to istotny fundament zwycięskiej wojny. „Któż z nas dałby wiarę przed wojną, pisze ten autor, co Niemcy potrafią uczynić z owej czarnej, cuchnącej masy, jaką jest smoła gazowa".

To też p. Fries utrzymuje, iż „wojna gazowa nie może być zniesiona".

Słusznie też pisze Otto Lehman Russbüldt:

„Nową wojnę rozpocznie straszliwa walka powietrzna i gazowa. Objektami atakowanemi będą — po zniweczeniu nieprzyjacielskiej floty powietrznej — nie linje okopów, czy twierdze, lecz ośrodki przemysłowe i stolice.

„Zwycięskiemu najeźdzcy będą towarzyszyć czołgi, zmotoryzowane działa, piechota, lecz tylko po to, aby okupować wrogi kraj i zniszczyć ostatnie punkty oporu nieprzyjaciela".

Łatwo też przewidzieć, iż przewrót w technice wojennej wywoła rewolucję i w t. zw. prawie wojny, w pojęciu kontrabandy wojennej, w pojęciu neutralności, zatrze różnicę pomiędzy kombatantem a cywilem, sprowadzi do zera teorję obowiązku wypowiedzenia wojny etc.

Sławetny gen. von Clausewitz twierdził, iż „wojna nie zna innych ograniczeń, jak kilka małoważnych restrukcyj, które nie osłabiają w istocie jej siły, a które są znane pod nazwą prawa narodów".

**
*

Myśl von Clausewitza zresztą nie była w sprzeczności z teorjami prawniczemi. Tak kanoniści średniowiecza jak też i sam Rousseau operowali pojęciami konieczności wojennej i celu wojny. Powstało rozróżnienie pomiędzy normalnem, a wyjątkowem prawem wojny, czyli wedle, terminologji M. Lüdera pomiędzy „Kriegsmanier", a „Kriegsraison". Pod pierwszym terminem rozumiano zwykłe normy wojenne, z zachowaniem restrykcyj, a pod drugim — wyjątkowo zaostrzone prawo wojny, które może być stosowane w razie nieodzownej potrzeby, gdy cel wojny nie może być osiągnięty zapomocą „kriegsmanier".

Teorje te zresztą nie miały żadnej wartości, gdyż na skutek zasady suwerenności strony zainteresowane, t. j. państwa wojujące same decydują o tem, czy ten lub inny środek podpada pod kryterjum celu wojny i konieczności wojennej. Wyjątek łatwo stał się regułą. „Kriegsraison" zawsze brała górę nad „kriegsmanier". Bombardowanie otwartych miast, łodzie podwodne, sławetna Bertha, użycie bomb gazowych etc. Wszystko początkowo miało na celu intymidację, zastraszanie, demoralizację, zwłaszcza tyłów, wszystko to było początkowo zastosowaniem „Kriegsraison", lecz w praktyce to nowatorstwo okazało się mieczem obosiecznym i wszystkie te środki początkowo drugorzędne stały się normalnemi środkami wojennemi i zadecydowały o kierunku rewolucji techniki wojennej.

Zresztą wojna nigdy nie była, ani turniejem zapaśniczym, ani pojedynkiem rycerskim. Jako z natury rzeczy negacja prawa, wojna nie może być ograniczona prawem i tem bardziej, iż każde z wojujących państw „habet majestatem". Przy zasadzie suwerenności państw, w atmosferze wzmagających się imperjalizmów nie może być mowy o tem, by wojna była ograniczona jakimikolwiek szrankami prawnemi. To też nawet w opracowanych przez D-ra Liebera instrukcjach dla armji amerykańskiej za czasów Lincolna, czytamy, że „na wojnie dozwolone jest wszystko to, co może doprowadzić do możliwie szybkiego pokonania przeciwnika".

Kto stwarza nową edycję ograniczenia sposobu prowadzenia wojny, ten, nie bacząc na humanitarny, wzniosły cel, jest siewcą beznadziejnej utopji, najszkodliwszej iluzji, nie liczącym się z logiką rzeczy.

Słusznie też utrzymywał prof. Lammasch, iż dążenie do humanizacji wojny jest bez porównania bardziej utopijne, aniżeli dążenie do wyeliminowania wojen.

O ile więc Konferencja Rozbrojeniowa sądzi, iż rezolucja o zakazie wojny chemicznej etc. stanowi jakiś realny efekt chociażby pierwszej fazy konferencji, to należy z całym naciskiem podkreślić, iż ten rzekomy efekt równa się zeru.

Nie negując bynajmniej praktycznego znaczenia rozbrojenia, musimy podkreślić, iż problem rozbrojenia nie może być rozwiązany oddzielnie od problemu międzynarodowej organizacji pokoju, gdyż wszystkie części sławetnej trjady — rozbrojenie, arbitraż, bezpieczeństwo — stanowią jedną całość i mogą i winny być rozstrzygnięte i załatwione łącznie i jednocześnie.

Rozumieli to dobrze Jaures i Wilson.

**
*

Wreszcie — opinja decydująca: rzeczoznawcy i uczeni, do których zwrócił się komitet Konferencji Rozbrojeniowej — do spraw wojny chemicznej i bakterjologicznej, złożyli sprawozdanie, stwierdzające, iż niema żadnego praktycznego środka, któryby mógł zakazać skutecznie przygotowania do wojny chemicznej i bakterjologicznej.

Więc causa finita, sprawa nierealnych zakazów jest już skończona.

S. Czeczelnicki

INFAMIA FASCISTA

Pisma niezależne proszone są o przedrukowanie.

Mam przed sobą niezwykły, nawet na dzisiejsze czasy, dokument XX wieku. Jest nim wydany w Londynie pierwszy numer perjodyku z nagłówkiem „Humanity" (Ludzkość) i podtytułem „Issued by the Women's International Matteotti Committee" (wydawnictwo Kobiecego Międzynarodowego Komitetu im. Matteottiego). Cztery trzyszpaltowe kolumny druku. Na miejscu naczelnem krótkie, redakcyjne „Nasze cele", tej treści:

„Kobiecy Międzynarodowy Komitet im. Matteottiego utworzył się, by przedsięwziąć akcję humanitarną, zbyt długo odkładaną, uwolnienia od nieznośnych prześladowań wdowy i dzieci po zamordowanym włoskim pośle do parlamentu, Giacomo Matteottim. Pierwszem zadaniem Komitetu jest zapoznanie świata z faktami przez prasę i wszelkiemi dostępnemi nam drogami. Już doszły nas z wielu krajów wyrazy sympatji i poparcia. Zamiarem naszym jest dopomóc, by Signora Matteotti i jej dzieci mogły albo opuścić Włochy, jeśli tego sobie życzą, albo żyć tam bez prześladowań, jeśli wolą pozostać.

Chociaż Komitet za swój cel bezpośredni postawił sobie tę pilną sprawę, nie jest on obojętny na głosy rozpaczy, wydzierające się więźniom politycznym z lochów i wysp karnych Italji.

Im również, w ich cierpieniach, Komitet pragnie przyjść z wszelką możliwą pomocą".

Pod tą odezwą widnieje podpis i adres znanej w całym kulturalnym świecie bojowniczki o prawa wyborcze kobiet angielskich i działaczki społecznej: *E. Sylvia Pankhurst, Honorary Secretary „West Dene", Charteris Road, Woodford Green. Essex. England.*

Następuje długa lista osób i stowarzyszeń, które zgłosiły swój akces do Komitetu*), lub wysłały życzenia owocnej akcji. Reprezentowane tu są różne kraje Europy, Ameryki, Afryki i Australji. Polski

*) Zwrócił się on również z prośbą o interwencję do ambasadora Wielkiej Brytanji w Rzymie i wysłał delegację do premjera angielskiego w tej sprawie.

śród nich dotychczas niema — sądzę, dlatego tylko, że Sylvia Pankhurst swój apel pod niewłaściwym adresem do Warszawy posłała. Organ, poświęcony sprawie wyrwania wdowy i dzieci po Matteottim z rąk dręczycieli faszystowskich, przypomina krótką a tragiczną historję walki przywódcy socjalistów włoskich na terenie parlamentu z Mussolinim i okoliczności skrytobójczego zamordowania Matteotiego przez faszystów, 10 czerwca 1924 r. Rzeczy te powszechnie są znane i nie będę ich powtarzał za „Humanity".

Chodzi tutaj o co innego, o rzecz w kraju cywilizowanym dziś bezprzykładną: zwycięzca uważa, że śmierć nie jest sama przez się zamknięciem porachunków z przeciwnikiem politycznym, i znęca się bez przerwy *przez lat osiem* nad pozostałą, daleką od wszelkich knowań antyrządowych wdową i małoletniemi dziećmi.

Oto garść faktów, w porządku chronologicznym wybranych z londyńskiej publikacji.

Przebywający na emigracji we Francji, b. poseł do parlamentu włoskiego, Francesco Ciccotti ogłosił niedawno w najpoczytniejszym dzienniku Riwiery „Petit Niçois", że gdy zmasakrowane zwłoki Matteottiego w dwa miesiące po mordzie zostały znalezione w lesie Quaterella, jakiś dobry człowiek zaofiarował na miejsce ich spoczynku swój grób rodzinny. Naraził się tem na takie prześladowania faszystów, że po kilku miesiącach zwrócił się do wdowy o zabranie stamtąd szczątków jej męża. Ekshumowano je i pochowano na cmentarzu w Tratta Polesine (Rovigo), w pobliżu miejsca urodzenia zamordowanego. Odwiedzanie grobu zostało surowo zakazane wszystkim, z wyjątkiem matki i żony Matteottiego, i to tylko dwa razy do roku (dzieciom dostępu zabroniono). Kwiaty, złożone na grobie, faszyści usuwali natychmiast i nie jeden raz grób był ohydnie sprofanowany (more that once the grave was hideously desecrated). Potem wdowa, Velia Matteotti, otrzymała od faszystów ostrzeżenie - groźbę, żeby przestała odwiedzać mogiłę męża, jeśli jej miłe bezpieczeństwo dzieci.

Ciccotti pisze dalej, że gdy latem 1926 wdowa z dziećmi udała się na jedną z plaż pod Genuą, zmuszona była po kilku dniach wskutek zniewag i prześladowań faszystów powrócić do Rzymu. Następnego lata pojechała gdzieindziej, do wioski pod Rimini nad Adrjatykiem. Ale i nad tym włoskim brzegiem nie pozostawiano rodziny Matteottiego w spokoju, a szykany i obelgi powtórzyły się. Zbiry milicyjne groźbami zmuszały właścicieli domów do wymawiania nieszczęsnej rodzinie mieszkania i wakacje zamieniły się w pełne udręczeń i upokorzeń koczowanie. Wreszcie pewnego dnia, gdy jedno z dzieci Matteottiego wychodziło po kąpieli z morza, jakiś bydlak - faszysta poszczuł dziecko dzikim alzackim psem. Biedna matka z konieczności wróciła ze swemi małemi do miasta, rozumiejąc, iż musi się wyrzec pobytu nad morzem, gdyż faszyści boją się, żeby przypadkiem tą drogą nie opuściła Włoch, nie wymknęła się swym dręczycielom.

Ilekroć zdarzy się w państwie Mussoliniego jakaś antyfaszystowska demonstracja, represje spadają przedewszystkiem na te niewinne ofiary.

Velia Matteotti żyje z rodziną w Rzymie w ciągłem niebezpieczeństwie, izolowana i teroryzowana ustawicznie. Poza jej bratem, śpiewakiem Tita Ruffo, mało kto odważa się ją odwiedzać.

Panna Adrienne Marchand, znana muzyczka francuska, zamieszkała w Rzymie, zaprzyjaźniona z panią Matteotti, nie wahała się odwiedzać ją stale. Pewnego dnia, zimą 1928, wyszły razem z domu. To było zabronione. P. Marchand została aresztowana przez milicję faszystowską, odprowadzona do kwestury (komisarjatu policji), gdzie ją zrewidowano, nie pozwolono ani wrócić do domu, ani skomunikować się z konsulatem francuskim, i tegoż wieczora odstawiono ją pod eskortą do granicy.

Agenci policji towarzyszą pani Matteotti wszędzie. Dom, w którym mieszka, jest pod obserwacją 50 „opiekunów", kontrolowanych przez oficera milicji. Każdy, kto do niej się udaje, jest legitymowany i badany przez szpiclów. Szpiegują oni nawet osoby, idące do innych mieszkańców tego domu. W nocy dom jest oświetlany reflektorem, żeby widzieć, kto wchodzi i kto wychodzi.

Francesco F. Nitti, bratanek b. premjera włoskiego, był tak nieostrożny, że odwiedził Velię Matteotti i złożył jej wieniec na grób męża. Za tę „zbrodnię" został *skazany na pięć lat* internowania w kolonji karnej na wyspach Liparyjskich, skąd udało mu się zbiec. Mówi o tem w swym pamiętniku „Ucieczka", wydanym u Putnama w New Yorku.

Samo nazwisko „Matteotti" jest we Włoszech dzisiejszych zakazane. Dzieci zamordowanego posła *mają wzbroniony dostęp do szkół*, o ileby się chciały zapisać pod prawdziwem nazwiskiem. Nieszczęsna Velia długi czas opierała się takiej bolesnej koncesji, wkońcu jednak, nie chcąc, by najstarszy syn wzrastał bez nauki, uległa i zapisała go *pod swem panieńskiem nazwiskiem do szkoły średniej.* I biedny Francesco Fitta, a nie Francesco Matteotti, musi w szkole śpiewać hymny faszystowskie i salutować „po rzymsku" portret Duce.

W r. 1931 powrócił do Rzymu dr. Mario Germani, przyjaciel Matteottiego, znany ze swych prac w dziedzinie medycyny w Paryżu, Wiedniu i Berlinie. Celem jego przyjazdu było wyjednanie pozwolenia na wyjazd rodziny Matteottich z Włoch. Aresztowany, przesiedział rok w więzieniu śledczem pod zarzutem usiłowania potajemnego wywiezienia ich z kraju. Słynny „Trybunał Specjalny Obrony Państwa" skazał dr. Germaniego *na dziesięć lat robót przymusowych.* Nawet według prawa faszystowskiego kara ta jest ohydnym gwałtem, gdyż za usiłowanie opuszczenia Włoch bez pozwolenia przewidziane jest 5 lat robót przymusowych. D-rowi Germaniemu wlepili „w dubelt", choć zamiaru swego w czyn nie wprowadził, i Velia Matteotti ani na jeden dzień swego mieszkania nie opuszczała.

Wszystkie wyliczone tu potworności muszą być autentycznemi faktami, skoro już od kilku miesięcy londyński organ Komitetu im. Matteottiego roznosi je po całym świecie, a rząd włoski dotychczas im nie zaprzeczył i nie dowiódł, że są zmyślone przez wrogów faszyzmu.

Człowiek, który nie uważa jeszcze pojęć ludzkości, honoru i godności za moralne wykopaliska z epoki przedwojennej, może takie czyny jednem tylko określić mianem: infamja!

Wacław Rogowicz,
autor książki „Reflektorem po czarnych koszulach".

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

WYSPA WARJATÓW

Książki Wellsa są szalone i trzeźwe zarazem. Zakreślają fantastyczne rozległe kręgi myślowe i z matematyczną dokładnością drogi ich rozwiązują. Żywiołowość impulsu, rozmach ujęcia, rzuty pomysłów spływają się w nich w oślniewającą harmonję realizacji.

Po przeczytaniu każdej z tych książek pozostaje wrażenie powrotu z podróży po niezmierzonych dalach, podróży pozornie fantastycznej, a której trasa okazuje się wkońcu mądrze i przewidująco wytknięta i powrót ściśle obliczony. Drogi fantazji są dokładnie wymierzone, historja nieprawdopodobna staje się możliwa, potem głęboko prawdziwa, wreszcie jedynie prawdziwa. Następuje zupełne przewartościowanie pojęć. Piewca utopji staje się apostołem jedynej najoczywistszej prawdy, a szaleńcy, o których czytamy z pełną wyższości pogardą, prześwietleni błyskiem mistrzowskich analogji, ukazują nam nagle ku naszemu przerażonemu zdumieniu, jak w krzywem zwierciadle — nasze własne oblicze. Spostrzeżenie to nie jest bezsprzecznie przyjemne, ale jest jeszcze jedną drogą do poznania siebie. A ponieważ, jak twierdzi Wells, „zamęt w głowach ludzkich wynika z tego, że człowiek za mało wie o sobie samym, bądź o świecie, którego jest panem", więc dobre i pożyteczne jest to krzywe zwierciadło wellsowskich książek.

„Wyspa warjatów" to napozór dziwaczna historja życia pewnego młodego człowieka, ale na kośćcu tego życia jednostki narasta stopniowo cała olbrzymia treść szaleństw, sprzeczności i paradoksów współczesnej rzeczywistości.

Młody człowiek pochodzi z dobrej angielskiej rodziny o szacownych tradycjach. Fałszywe wychowanie, potraktowane przez Wellsa ze zgryźliwą ironją, czyni go „zarozumiałym gawronem", nie mającym pojęcia o życiu. Zebezpieczano go przed tem życiem na wszelkie sposoby, uczono aby był grzeczny, ufny, dobry, a wszystko ułoży się jaknajpomyślniej na tym najlepszym ze światów.

Już pierwszych ciosów losu umysł jego nie wytrzymuje i młody człowiek dostaje obłędu. Uważa otaczający go świat za dziką wyspę Rampole, zamieszkałą przez ludożerców. Straszliwe są ich obyczaje, okropna ciasnota umysłów. Plemię to jest „niechlujne, łakome, leniwe, skryte, lubieżne, nieuczciwe, głupie, bardzo zazdrosne, tchórzliwe, uparte, gniewne, a przytem nieugięte, zacięte i okrutne".

Dzikość ich, z licznemi tabu, okultyzmem, fetyszyzmem, z dziwacznym rytuałem, jest skomplikowana, sztuczna i obłudna, umysł błędny i zawiły. Mając koło siebie ziemię zalaną słońcem, pokrytą bujną roślinnością, lud ten woli mieszkać „między mrocznemi skałami, kędy wiatr zrzadka dociera, a wszelkie fetory długo się snują". Choć obłuda nie pozwala mówić oficjalnie o ludożerstwie, zabija się ludzi za najlżejsze, najczęściej pozorne wykroczenia, „aby elita narodu miała zawsze dobrze zaopatrzony stół oraz możność utrzymania się na wyższych szczeblach socjalnej piramidy".

Gdy pożeranie swoich nie wystarcza, rozpoczyna się wojnę z sąsiedniem plemieniem. A skoro zagrzmią bębny bojowe, rozpoczyna rządy nad ludem krwawy wojownik Ardam. Farbuje on dla postrachu w jaskrawe wzory swe ciało, chodzi w gronie adjutantów bogato przystrojonych, nakłada rekwizycję na wszelką własność dla bezpieczeństwa publicznego, ćwiczy swych przyszłych wojowników i dla zahartowania torturuje ich, chłoszcze, obcina uszy, wydaje „idjotyczny rozkaz chodzenia z brodą sterczącą naprzód i wywieszonym językiem". Urządza Wyjące Wiece przeciw wrogowi dla podtrzymania ducha ludności, gdzie ogłasza się rzekome występki i zbrodnie przeciwnika wśród oklasków i objawów odrazy.

Wśród piekła wyspy Rampole nasz młody człowiek, mister Blettsworthy, wygłasza często panegiryczne zachwyty nad naszą cywilizacją, jej dobrem moralnem, uczciwemi prawami i rozumnem wychowaniem. Ale nikt go nie pojmuje, wszyscy przekonywują go, że wyspa Rampole to jedyny rzeczywisty świat.

Po pięciu latach obłąkanych majaczeń powraca młodemu człowiekowi świadomość. Swoje życie w świecie cywilizowanym musi rozpocząć od wzięcia udziału w wojnie. Widzi, że setki miljonów ludzi jego wymarzonej cywilizacji nie wykazują zdolności do zatrzymania nadchodzącej daremnej tortury wojennej, która ich pokaleczy i zniszczy.

I powtórzyła się w naszym łagodnym cywilizowanym świecie dosłowna historja wyspy Rampole, tylko po stokroć okrutniejsza i bardziej straszliwa.

Powtórzyły się „Wyjące Wiece", zapał patrjotyczny i rekwizycje, opar ciemny spadł na mózgi.

Ćwiczono młodego Blettsworthy'ego w koszarach, tarzano go w błocie, głodzono, bito — dla zahartowania. Potem na rozkaz zgrai Ardama popędzono go w bój nieskończenie bardziej straszny i bezlitosny, niż widziane w dawnych majaczeniach bitwy dzikich niewolników.

Tu niczem była odwaga, dzielność, siła. O życiu i śmierci rozstrzygał ślepy traf.

Oglądał Arnold Blettsworthy grozę pól śmierci, zasłanych niepogrzebanemi trupami, oddychał „powietrzem gnijącego patrjotyzmu", zasypywany był ogniem pocisków, szalał w śmiertelnej trwodze wśród drgających okrwawionych strzępów ciał poszarpanych, do złudzenia przypominających poćwiartowane ludzkie dania na ucztach ludożerczych... Wreszcie został raniony, stracił nogę...

Jedyną rzeczywistością stała się wyspa Rampole. Więcej: wyspa Rampole „była czemś prawie pięknem w porównaniu z tem — leżała zaledwie na połowie drogi do rzeczywistości". Nie było już nigdzie ostoi i rozwiązała się wszelka nadzieja. Niebo i ziemia sprzysięgły się przeciw człowiekowi.

Ale ogeń ludzkiego idealizmu jest nieśmiertelny. Wyciągnie on Hioba z ciemnej jamy męki i zwątpienia ku wierze w lepsze jutro, w możność zapomnienia, przebolenia, naprawy.

Po długich walkach wewnętrznych, po nieskończonych próbach przemyślenia i uzgodnienia swych przeżyć z porządkiem świata, powstaje z gruzów w duszy kaleki wiara nieśmiertelna w postęp świata, pewność, że „gdzie słoma dzisiaj leży, jutro młyn będzie mełł zboże".

„Ilość gniewu przypadająca na jedną głowę ludności jest dziś conajmniej cztery razy mniejsza, niż za czasów Dickensa i Tackeraya. Czytając o snobiźmie i podłości ludzkiej z przed pięćdziesięciu laty i porównywając ten stan z dzisiejszemi zdobyczami socjalnemi, dochodzi się do pewności, że jesteśmy w początkach dążeń ku psychologicznie pojętemu, rozumnemu życiu".

Książka Wellsa jest śmiała, mądra i krzepiąca.

Jadwiga Baranowska

»ŻÓŁTY KRZYŻ«

Najwalniejszą przeszkodą natury psychicznej do wzajemnego porozumienia się ludów jest zakorzenione w szerokich masach przeświadczenie wewnętrzne o jakiejś „inności" tamtych ludzi z obcego szczepu, plemienia, narodu, ba, nawet z innej dzielnicy tego samego kraju. Te odruchy uczuciowe człowieka pierwotnego są podsycane żarliwie przez najpotężniejszą w świecie międzynarodówkę głupstwa, pospolitości, ciemnoty, oraz przekuwane na broń polityczną przez wszelkie nacjonalizmy i partykularyzmy.

Okres wielkiej wojny dał nam ohydne widowisko rozbestwienia się tych instynktów. Wszystko dokoła dyszało nienawiścią, podniesioną do godności najwyższej cnoty narodowej. Głos rozwagi musiał umilknąć, zagłuszony hukiem armat i opętańczym wrzaskiem. Powoli, powoli zaczął po wojnie rozprostowywać się przyduszony do ziemi duch ludzki. Odzywały się najpierw pojedyńcze głosy tu i owdzie — aż wreszcie, mnożąc się i potężniejąc, zabrzmiały zgodnym protestem przeciwko psychozie wojennej. Przeciwko nienawiści i odosobnianiu się w kulturze, w polityce, w gospodarce społecznej.

Nie łudźmy się jednak! Dzieje się to dotąd tylko na najwyższych szczytach uświadomienia i kultury. Potężny na swej ziemi faszyzm, rozporządzający miljonami głosów hitleryzm, inne niemniej wyłączne i wybujałe nacjonalizmy bez nazwy — łowią ryby w cuchnącej, zapleśniałej wodzie nienawiści rasowej, wyznaniowej i t. p., posługując się przynętą dobrobytu i szczęścia bez skazy po pokonaniu „wroga". A że żyć i zarabiać jest coraz trudniej, że ciemnych jest zawsze więcej, niż oświeconych, — znajdą się zawsze tacy, którzy uwierzą, że sąsiad zza miedzy, jeżeli nawet nie zjada codziennie na śniadanie pieczonej rączki niemowlęcia, to w każdym razie jest potworem, wyzutym z elementarnych uczuć ludzkich.

Świadomość obywatelska nowoczesnego świata musi być rozbudzana powoli, kształcona oględnie i umiejętnie, wpajana w krew. Bo każdy niby wie, że inne narody składają się z takich samych ludzi, jak jego własne społeczeństwo: dobrych, złych, średnich. Nie wypada mu tego wprost mówić, bo się obrazi. Ale można zrobić coś innego: pokazać mu, jak ci ludzie myślą i czują, jak szaleją w tych samych mękach, które przeżywaliśmy niedawno, jak wiją się w kleszczach straszliwej przemocy wojny, która jest dla nich równie niepokonana i nienawistna, jak dla nas.

Pokazał to z wielkiem mistrzostwem Andrzej Strug w swej nowej powieści p. t. *Żółty Krzyż*, której dwa pierwsze tomy: *Tajemnica Renu i Bogowie Germanji* znajdują się już na półkach księgarskich. Nie piszę oceny literackiej tego utworu, na którą zresztą byłoby jeszcze zawcześnie przed wydaniem trzeciego tomu. Ale sam fakt, że pisarz polski, który przytem dał dosyć na to dowodów, jak głęboko odczuwa i rozumie życie swego narodu, opisuje wojnę pod wyłącznym kątem widzenia psychiki cudzoziemców i do tego „wrogów" — fakt ten ma doniosłe znaczenie.

Symbolicznie zaznaczona jest na wstępie idea powieści w uścisku ręki Francuza i Niemca, którzy we wspólnem pogrzebani więzieniu oczekują śmierci na opuszczonem pobojowisku. Dwaj inni, resztki ludzi, stuprocentowi inwalidzi, będą gwarzyli sobie po paru latach nad jeziorem neutralnej Szwajcarji, gotowi już zerwać swą przyjaźń w imię dawnych, narodowych nienawiści, gdyby nie pojednało ich urocze zjawisko: piękna kobieta i genjalna artystka zarazem — Eva Evard. Znakomita gwiazda kinematografu, piękność o niezrównanym wdzięku, otoczona hołdami i uwielbieniem całego świata, zapragnie roli czynnej w potwornem misterjum wojny. Igrając z jej najstraszliwszemi tajemnicami, znajdzie się wreszcie, sama nie wiedząc — kiedy i jak, w uścisku śmiertelnych macek polipa, które wydawały się jej zrazu fascynującą tylko, ale niewinną zabawką. Przejdziemy z nią razem całe piekło szpiegostwa wojennego.

Do istoty zagadnienia najgłębiej dotarł autor w tragicznej postaci francuskiego kapitana Déspaix, który jako wysłannik wywiadu do Niemiec w roli Osjana Helma, zdobywa wprawdzie wzór zabójczego Żółtego Krzyża, ale najniespodziewaniej dla siebie znajduje również nowe życie w miłości do wdowy po niemieckim komendancie łodzi podwodnej i... zatraca samego siebie. Nie wie już, czy jest Francuzem, czy Niemcem, nie wie, komu służy i z kim sympatyzuje...

Ta powieść znakomitego pisarza powinna działać na dwóch frontach. Że zdobędzie z łatwością front wewnętrzny, nie wątpię. Ale należałoby zrobić wszystko, ażeby jak najprędzej przetłumaczyć ją na język niemiecki. Mam wrażenie, że nie posiadamy dotąd w naszej literaturze równie ważnej pozycji propagandowej.

B. I. B.

POWIEŚĆ KRYMINALNA

W związku ze wzmagającą się poczytnością powieści kryminalnej i prasy brukowej w Polsce, coraz częściej rozlegają się głosy, dowodzące, iż wzrost przestępczości wypływa przedewszystkiem z popularności różnego rodzaju „Tajnych Detektywów" oraz tłomaczeń zagranicznych romansów kryminalnych, cieszących się u nas zastraszającem powodzeniem. W pewnej mierze właśnie przeciwko wspólnemu frontowi „mieszczańskich filantropów" i „obleśnych humanitarystów", biadających zgodnym chórem nad zatruwaniem duszy szerokich warstw społeczeństwa, skierowane jest ostatnie studjum Stanisława Baczyńskiego („Powieść Kryminalna". Kraków — Warszawa 1932. Nakładem Wydawnictwa Literacko Naukowego).

Na 108 stronicy tego studjum pisze autor: „Dopóki ludzkość nie osiągnie stopnia rozwoju pewnych gatunków zwierząt, które się wzajemnie nie pożerają, dopóty będzie istniało pojęcie zbrodni i kary. A ponieważ jest to absurd w samem założeniu — zbrodnia i literatura o niej mają jeszcze wielki etap do przebycia. Będą długo zaspakajały głód wyobraźni i „sadyzm" obywateli, dając łatwe ujście ich żądzom i namiętnościom, które inaczej mogłyby posta-

wić ich przed kratami sądu i więzienia. W tem znaczeniu bowiem literatura kryminalna stanowi doskonały środek odciągający nadmiar krwi, lekarstwo spreparowane przez zbiorowość dla zniweczenia czynnej energji popędów i nieświadomych dążności natury ludzkiej. Wydobywa ona całe złoża psychicznych fermentów i kompleksów, wyczerpuje je i spycha w nicość". Tę rahabilitującą literaturę kryminalną opinję opiera autor na znanej teorji o popędach zbrodniczych, właściwych każdej jednostce ludzkiej.

Próba syntezy dziejów i wewnętrznego rozwoju powieści kryminalnej wypadła nieco ogólnikowo, niemniej jednak zawiera ona cały szereg nadzwyczaj trafnych spostrzeżeń, z których na plan pierwszy wysuwa się doskonale sprecyzowana ocena różnicy między angielskim a francuskim romansem kryminalnym, polegającej zarówno na odmiennem ustosunkowaniu się do zbrodni i kary, jak i na odmiennem ujęciu zasadniczych, niejako symbolicznych typów powieściowych (nprz. Sherlok Holmes czy Arsen Lupin), będących przejawami rasowych i obyczajowych właściwości obu narodów.

Żałować należy, iż autor nie postarał się o dokładną selekcję materjału i nie przeprowadził linji granicznej, któraby dzieliła wspomnianych w tekście autorów na dwa walczące ze sobą obozy. Wnikliwi badacze i genjalni psycholodzy występku, — Poe, Byron, Dostojewski czy Wasserman, zasłużyli się istotnie sprawie kultury ogólnoludzkiej i na ich przykładzie możnaby dużo powiedzieć o dobrodziejstwach powieści kryminalnej. Co się jednak tyczy ogromnej większości autorów t. zw. kryminalnych, w rodzaju Leroux, Leblanc'a, Wallace'a, Doyle'a it.p. to utwory ich, pozbawione przeważnie jakichkolwiek wartości artystycznych, czy naukowych, przedstawiają raczej niebezpieczeństwo z punktu widzenia wewnętrznej zdrowotności społeczeństw. Powiada p. Baczyński, iż w zetknięciu z tego rodzaju lekturą wyładowują się, znajdują ujście zbrodnicze popędy szerokich mas czytelników. Mam wrażenie, iż małowartościowa (pod względem artystycznym i naukowym) powieść kryminalna, chociaż wyładowuje ukryte popędy, lecz jednocześnie budzi je, rozwydrza, kształci. Masowy wzrost przestępczości, przy równoczesnym popycie na tego rodzaju literaturę kryminalną, każe podejrzewać, iż między obydwoma temi czynnikami istnieje jednak pewna zależność.

Przypuśćmy wszakże, jak chce p. Baczyński, że powieść kryminalna nie wykształca fachowo ani jednego przestępcy. Mimo to jednak, trzeciorzędna literatura kryminalna ujemnie wpływa na zdrowotny stan moralności społecznej, przez swój stosunek do zbrodni, — najczęściej obrzydliwy, oraz przez swój stosunek do organów władz bezpieczeństwa, — skrajnie czołobitny, albo zdecydowanie wrogi.

Szkoda wielka, iż autor „Powieści Kryminalnej" nie znalazł dość silnych słów potępienia pod adresem tego rodzaju literatury. W prostytucji i w wódce także „wyładowują" się różne „popędy" społeczeństwa, nie mniej naturalne i właściwe ludziom jak popęd do występku.

Powieść kryminalna, rozważana objektywnie, jest dla najszerszych warstw etapem rozwoju zainteresowań. W okresie, gdy wznoszą się doliny pospólstwa, a szczyty elity opadają, w okresie przymusowej oświaty powszechnej, przy jednoczesnym braku szkół dla miljona dzieci w Polsce, prasa brukowa i powieść kryminalna jest (przyznajmy) jedyną pociągającą a dostępną lekturą dla niedawnych analfabetów, których szerokie masy właśnie poprzez taką literaturę uczą się czytać czasopisma i książki, wchodzą pomału w przyzwyczajenie — czytania. Jest to jedyna dodatnia strona tego rodzaju lektury.

Jerzy Życieński

O D G Ł O S Y

DZIECI BEZDOMNE W AMERYCE

Nieskończone łańcuchy małoletnich „trampów" suną z północy na południe. Jak szarańcza, oblepiają wagony towarowe, wiszą na osiach, siedzą na buforach, szturmują stacje kolejowe, objadają małe ciche miasteczka nad Missuri lub Mississipi. W Ameryce rozpoczęła się „wielka wędrówka narodów", bodźcem jej jest głód i nędza, — bohaterami — młódź, urodzona w latach wojny. Zły omen ciąży nad tą nieszczęsną młodzieżą: ujrzała światło w okresie strasznej wojny, do walki o życie staje w okresie straszniejszego jeszcze pokoju.

Możnaby zaryzykować przeprowadzenie paraleli między rosyjskimi a amerykańskimi „bezprizornymi". Pierwsi, to przeważnie ofiary „głodnych lat", sieroty, opuszczeni, podrzutki. Drudzy — mają jeszcze dach nad głową, ale stracili wiarę w przyszłość; opuszczają dom rodzinny, bezrobotnego ojca, chorą matkę, kroczą gdzieś w nieznaną krainę, marząc o prosperity, którą jeszcze pamiętają. Pierwsi, to element hardy, dziki, buńczuczny. Drudzy to armja zawiedzionych i rozczarowanych, poszukująca również przedewszystkiem kawałka chleba, ale w głębi ich duszy tli się jeszcze ukryte i nieziszczalne marzenie: mieć własne auto, być wielkim i głośnym bokserem lub gwiazdą filmową, pić whisky. I jedni i drudzy są bardzo nieszczęśliwi: okres młodzieńczy przeżywają w walce o każdy kęs chleba lub łyżkę gorącej strawy, ale gdy rosyjscy bezdomni nie doznali rozczarowania, bo lepszego życia nie zaznali i marzyć o niem nawet we śnie nie mogli, — amerykańską młodzież w kołyskach jeszcze karmiono bzdurnemi bajkami o gazeciarzach, co przybywali do Nowego Jorku bez butów, a po kilkunastu latach — hokus - pokus, dolar, giełda, business — byli Vanderbiltami, Morganami, Rockefellerami.

***

Ruch amerykańskich „bezprizornych" staje się coraz bardziej masowy i coraz bardziej groźny. Od września do grudnia liczba bezdomnych dzieci, o ile wogóle daje się ją uchwycić, potroiła się. Bezplanowej wędrówki do stanów rolniczych niepodobna opanować. Pomoc społeczna nie dąży zorganizować swych skąpych zresztą zasobów, gdy przybywają coraz to większe zastępy. Głodni i oberwani, niemyci, wycieńczeni, zamieszkują lochy, porzucone kopalne, puste fabryki. W Klamath Falls, w stanie Oregon, wykryto „dżungle" młodych trampów, zamieszkane przez 400 wędrownych oberwańców. W próżnych wagonach towarowych nad Pacyfikiem gnieżdżą się ich tysiące. Ze stanu Georgia sygnalizują przemarsz „hord" młodocianych trampów, obozujących — mimo zimna — pod gołem niebem.

Według pobieżnych obliczeń, jest ich ponad 200 tysięcy, a liczba ta wzrasta z dnia na dzień.

Wśród bezdomnych przeważają małoletni do lat 16-stu. Koczowniczy tryb życia i ciężka, beznadziejna walka o kęs chleba deprawuje młodocianą duszę. Przestępstwa mnożą się, i w tem amerykańscy nędzarze nie ustępują swym rosyjskim kolegom. Prasa upstrzona jest wiadomościami o sensacyjnych przestępstwach, dokonywanych przez nieletnich. Oto garść faktów z ostatnich kilku tygodni: piętnastoletni chłopiec zastrzelił policjanta, który mu zabronił kąpać się w niedozwolonem miejscu; podczas sprzeczki 16-letni młodzian zastrzelił swą babkę; 17-letni chłopiec zdobył rekord morderstw, zdążył bowiem w ciągu swego krótkiego żywota zastrzelić pięciu meksykanów, jednego obywatela Stanów i dokonać napadu na dwoje bezbronnych dziewcząt.

Jeśli jaskrawe te fakty tchną patologją, to niemniej groźnie prezentują się przestępstwa „normalne", doby codziennej. W samem tylko mieście Detroit w listopadzie r. ub. ujęto 29-ciu młodocianych za *rabunek z bronią w ręku*, jeden z nich, piętnostoletni chłopiec, ma na sumieniu 50 napadów rabunkowych!

Inny znów, 18-letni, dokonał 24-ch rabunków na stacjach benzynowych.

Dwaj nieletni rabusie specjalizowali się w napadaniu na sklepy spożywcze, skąd unosili zawartość kasy.

Urząd śledczy Stanów Zjednoczonych obliczył, że w ciągu ostatnich 8-miu miesięcy, a przeważnie w drugiej ich połowie, chłopcy i dziewczęta poniżej lat piętnastu popełnili ponad 50 przestępstw, w tem pięć morderstw, 128 kradzieży zwykłych i 139 kradzieży z włamaniem. Co dziesiąty przestępca jest w wieku poniżej lat 19-stu, co piąty — liczy od lat 19 do 22; 39% przestępców stanowi młodzież do lat 24-ch.

W aresztach amerykańskich przebywa 10.926 dziewiętnastolatków; z pośród skazanych za rabunkowe napady 20% stanowią małoletni do lat dwudziestu, z pośród skazanych za kradzież z włamaniem — 33½. Przeszło dwie piąte złodziejów automobilowych rekrutuje się z pośród młodzieży do lat dwudziestu.

I znów paralela — na niekorzyść Amerykan. Rosyjskiego „bezprizornego" siłą i przymusem zaciąga się do pracy. Gorsza lub lepsza, cięższa lub lżejsza, ale zawsze to praca i możność wykierowania zatrutej duszy młodzieńczej na lepszą drogę. Tragedją Ameryki jest właśnie zupełny brak warsztatów pracy, któreby mogły zatrudnić niezliczone rzesze „trampów".

***

Tak oto setki tysięcy bezrobotnej młodzieży amerykańskiej staczają się na dno, z którego wybrnąć będzie bardzo trudno.

Leo Hochberg

WSPOMNIENIE O PROF. A. A. KRYŃSKIM

„Kryński był jednym z tych szlachetnych i rozumnych obywateli kraju, którzy umieli pogodzić upragnienia serca i poświęcenie z zaparciem, jakiego wymagało ciężkie położenie kraju i szkoły w latach ubiegłych. Gorący miłośnik rzeczy ojczystych, czerpał on z miłości tej otuchę do coraz nowych wysiłków w trudnych warunkach życia, mało sprzyjającego studjom naukowym..."

Tak przed laty charakteryzował znakomitego uczonego i drogiego sercom obywatela, któregośmy w ub. miesiącu stracili, też już dzisiaj nieżyjący wybitny językoznawca, zarazem przyjaciel Adama Kryńskiego, prof. Karol Appel. W przeciągu trzech lat, zgasły, jedno po drugiem, trzy światła filologji polskiej, bo do dwu wymienionych pamięć dorzuca w tej chwili imię profesora Jana Baudoinde Courtenay. O profesorach Kryńskim i Baudouinie powiedzieć można, że żyli na dwu płaszczyznach: naukowej i w stosunkach ideowych ze społeczeństwem. Ale kiedy prof. Baudouin od głębin swojej filozofji języka zupełnie odcinał pochłaniającą go ostatniemi laty walkę przekonaniową, „flirt z polityką", jak się wyraził w przemówieniu na własnym jubileuszu, a jak my powiemy: bohaterskie torowanie dróg ideom najwyższego humanitaryzmu przez las myślowej zastarzałości w Polsce, prof. Kryński schodzi do ludzi po samej językowej drodze, pracuje społecznie dla języka i przezeń uderza do sumień w narodzie.

Był to wogóle człowiek z jednego odlewu, mieszkaniec jednego zaklętego zamczyska, które tylko sobie podzielił na różne świetlice: naukową, pedagogiczną, obywatelską.

Tragedja większości naszych uczonych z czasów niewoli sprawiła, że i on marnował życie w obcym zawodzie, dając lekcje francuskiego w gimnazjum, a tylko męstwem obywatelskiego wytrwania na resztkach sił i czasu budował razem z innymi, podobnymi mu bohaterami, gmach nauki polskiej, redagował monumentalne Prace Filologiczne, pisał Gramatykę ojczystego języka i szczepił praktycznie jego czystość i miłość w społeczeństwie.

Kiedy odmieniły się czasy, prof. Kryński nie rzucił podwójnej służby. Stronie naukowej mógł, na szczęście, dać grunt wskrzeszony Uniwersytet Warszawski, strona patrjotyczna, obrona języka, przesunęła się z frontu zewnętrznego na wewnętrzny.

W tej dwój - pracy przyszła mu, według ludzkiego kalendarza późna, ale dla jego serca dziwnie miłościwa, słońcem, pogody ozłocona jesień. Czas jakby stanął nad jego życiem, nie przyćmił uśmiechu dobroci dla ludzi, nie ważył się targnąć na jawność jego myśli, otoczył go czcią społeczeństwa, kultem słuchaczy, tkliwością córek. Położył na nim coś jak poblask cichej wieczności, tak przynajmniej wyczuwaliśmy to my, którym zdawał się nieodzowny w życiu i w pracy. Aż znieważył tę jasność pogody — wypadek. I kiedy czciliśmy Jego pamięć w Towarzystwie Poprawności Języka, zdawało się nam nieporozumieniem, że to jest hołd *pośmiertny*, obcowanie tylko ze wspomnieniem człowieka, którego głos brzmiał nam jeszcze żywy z przed dni kilkunastu. A jednak ta obecność Jego dotykalna, oderwana nam ślepem uderzeniem katastrofy, zacznie się, niestety, powoli oddalać. Czyż będzie w nas gasła? Nie! Jak nie zagasną zasługi Adama Kryńskiego, pierwszorzędnego badacza, wychowawcy pokoleń, tak nie zasunie się w cień i pamięć *człowieka*.

Miarą ludzi o wysokiem imieniu i długotrwałej zasłudze nie jest tylko suma zostawionych dzieł, miarą są także ogniki przywiązania, wdzięczności, wierności w mniejszych sercach, które miały szczęście oprzeć się o nich, a kiedy oni odeszli, poprzesięgają sobie, że swojem uczucie mbędą im w dalszym ciągu dawały życie.

Julja Wieleżyńska

N O C T U R N

Pamięci Gustawa Meyrinka.

Na cmentarzu w Celejowie, w rogu między parkanami rośnie drzewo. Mogił nijakich dokoła, tylko jedna u stóp. Nogi wyciągnęła do płota, głowę o pień drzewa oparła i leży — wypoczywa, jak po dalekiej drodze. Tak zwyczajnie, poprostu.

Zmarła szła drogą, a że szła zdaleka, więc zmęczyła się srodze. Nogi raptem przemówiły: — już dosyć! a i oddech stał się nagle zakrótki. Niewiele, tylko jeden krok z drogi zboczyła, przelazła przez sztachety, wyłamane w płocie i pod drzewem się układła — już mogiła.

Ptaki zaśpiewały raz — drugi, potem upadł deszcz, potem słońce zaświeciło skroś chmury i życie czyjeś drogą przebiegło. Znowu potoczyły się dni.

Za życia często, bywało, chodziła na groby. Stawała jak generał śród zwartych szeregów i mustrowała wyciągnięte w szeregach mogiły. Dobrze wiedziała, jak się w którym grobie nieboszczykom leży. Dostrzegała jednem popatrzeniem bunty ciał w mogiłach, rozróżniała jednym powęchem nosa przyczyny tych buntów.

— Temu oto nazbyt kamień cięży, mawiała, bywało — tego uciskają wąskie ściany trumny, — tamta rzuca się pod ziemią do córeczki — sieroty, ten zaś walczy z zaduchem, z robakami, z rozkładem i do żonki tęskni na wygodnem łóżku. Hej!....

Teraz przecież sama leży na Celejowskim cmentarzu. Od wielu lat. I nie buntuje się, jak inne groby, ale leży spokojnie.

Ptaszki naprzemian śpiewają jej i grób zapaskudzają i kiedy by nie przyjść na grób — pełno tu zawsze i jak w najlepsze krzyku i łajna ptasiego, pokrzyw — nowych lokatorek, brzęku owadów i zielonego światła. Pomalutku — powolutku i skrycie dyszy sobie mogilne ustronie letnim upałem nakryte.

Zaledwie o trzy kroki od grobu droga się ściele zadeptana cała śladami bosych stóp i pokrajana koleinami wozów. Jest duszno. Słychać rozmowę kobiet przechodzących za płotem, a śród zieleni migają chustki barwne jak motyle i błyszczą na szyjach korale w słońcu, jak świece.

— Słyszę wszystko i widzę wszystko! We wszystkiem uczestniczę! śpiewa upojnie inny świat na mogile pod płotem siedzący. — Mnie nikt wszelako nie dostrzeże, chociaż nas dzieli jeno dziurawy płot, i nikt mnie nie dosłyszy, choć głośno krzyczę!...

Tak, — ludna droga, a o krok, poza szczerbatym parkanem — bezludzie. Urok do naga rozebrany, głośnym śpiewem po ustroniu dzwoniący, a przecie wpleciony najzupełniej w okoliczną ciszę i dla oczu człowieczych niewidoczny.

— Mnie nikt nie widzi! Mnie nikt nie słyszy! Ja wszystko. We wszystkiem uczestniczę! śpiewają upojnie ptaki i szeroko drzewo szumi. Na grobie. Na cmentarzu. W Celejowie.

***

Było lato. Wspomnienie. Pozostało w pamięci upalne i kolorowe. Żywy dyszący zwierz, rozespany śród liści, różowy dwór przysypany myślami, czerwone jabłka w sadzie i twarze znajome, widziane dziś przez palce minionych lat. Następują na siebie obrazy, obejmują się i nie wiadomo chwilami, czy to okna dworu tak świecą, czy białe zęby Hektora Dobermana, — nie wiadomo, czy to Dwa Stawy znieruchomiały w wąwozie, czy dwoje oczu zbielałych, oczu Jaśnie Pani patrzy skroś myśli upiornie.

Był dwór. O trzy wiorsty od Celejowa i w pół roku od śmierci Wielkiej Cioty. We dworze na pięterku w pobielonej izbie mieszkał Hektor Doberman z Agatą. Pies ze sługą.

Po śmierci Cioty Szczegotowej do służby poszła Agata, do dworu do prania i do wszystkiego. Pralnia była we dworze w suterynie, z oknami przy suficie i na ogród. Długiemi godzinami wystawało przy balji zmęczenie. Gdy już nie mogło dłużej, wtedy na jedno mgnienie, uciekała Agata z piwnicy po kamiennych schodkach na ogród. Wystarczał jeden oddech w słońcu, jedno popatrzenie, rzucone w kolorowy świat, a zaraz i zmęczenie gasło w blasku słonecznej chwili i siły wracały do znużonych rąk. Ów świat, rosnący wokół suteryny, był niby wielka beczka wody źródlanej do picia. Napił się człowiek oddechem i wzrokiem i znów wracał do pracy przy balji. Szesnaście lat miała natenczas Agata.

Był dwór. Raz na tydzień otwierały się długie pokoje i raz na tydzień gramofon grał dla Agaty. Cudne melodje. Do sprzątania. W sobotę.

Wychodziła Jaśnie Pani z sypialnego pokoju, a gramofon grał. Wirowała srebrna rączka po czarnych talerzach i pisała najpiękniejsze piosenki. Rozmaite w swej piękności, wielorakobarwne. Raz, to były tryskające fontanny, roztrzepane chorągwie, kolorowe sztandary. Wyrastały z rączki srebrnej, za Agatą biegły i goniły po wszystkich pokojach.

Najpierw szczotka na długiej poręczy, za szczotką dziewczyna, za dziewczyną sztandary. Fruwające kolory nad srebrzystą ręką, melodje cwałujące.

A potem był zgrzyt. Zwykły koniec wszystkich cudów w gramofonie. Prędko — prędko do stolika doskakuje Agata, śpieszy się i płytę zmienia, korbą kręci i nastawia. — Żeby jeno Jaśnie Pani nie myślała, że to nowa płyta! Żeby tylko Jaśnie Pani ciągle się zdawało, że przegrana melodja nie przegrała się wcale i gra nadal. Długo. Nieskończenie!...

Znowu gra! Znowu gra! O Boże!...

Czarny talerz się kręci, srebrna rączka drży, a z drewnianej tuby wycieka melodja. Po kropli. Słuchać jej można tylko tuż, najbliżej, — z odgarniętemi rękoma i z nadstawionem sercem. Kapią krople muzyki, a każda kropla do serca. Nie na pokój, nie przez okno, nie przez drzwi, jeno prosto w pierś. Chce się bluzkę zedrzeć, lewą pierś oderwać, chce się....

Ooo! odpadła i bluzka i pierś! — Niema nic, jeno jest muzyka. W sercu.

Jaśnie Pani drzwi otwarła, na progu stanęła i patrzy. — Co tak długo sprzątasz dziś, Agato? Pośpiesz się, a zamknij gramofon. Nie trzeba!

A Agacie wstyd. Jakby była goła. I przykro. Kręcą się w oczach łzy. — Zepsuta melodja. W połowie zamknięta. Nie dosłyszana do końca.

**
*

Było lato. Wspomnienie. Jeszcze wczoraj chodził po ogrodzie w swych krótkich spodenkach, z psem na smyczy spojrzenia i z uśmiechem na twarzy. Na całej twarzy miał uśmiech, nawet w brwiach i na brodzie. Zwał się Panicz. Nasz Panicz, czyli Łukaszek.

Widywała go często z pokoiku z pięterka, jak naprzełaj biegał po ogrodzie. Nie po ścieżkach, lecz po klombach, po trawach i po kwiatach. Jaśnie Pani nic mu na to nie mówiła. — Łukaszkowi wszystko wolno, niech robi co chce!

Biegał więc z Hektorem po ogrodzie, roześmiany od tej swojej mocy, a kucharka Magdalena pociła się przy obiedzie. — Żeby tylko Paniczowi smakował! Grunt — to Panicz, — Panicz — białe, Jaśnie Pani białe, Panicz — czarne, Jaśnie Pani też. Weźmy — Hektor. Pani psów nie cierpi, a z Hektorem Dobermanem do stołu zasiada. Razem jedzą. We trójkę. — Tak chce Panicz.

A teraz już nie chce?... Niczego dziś nie chce, bo wyjechał. Do miasta na nauki, ale szkoda. Patrzysz przez drzewa na ogród, a Panicza brak. I ciszej za oknami i nudniej. Patrzeć się nie chce i żal, żal Panicza, że wczoraj wyjechał. Mały żal, a dokuczliwy jak mucha. Żal co chwila.

Wieczorem poszli razem na przechadzkę. Pies i sługa. — Tak strasznie się napierał! Las czarny sterczał na górze, a słońce gasło w wąwozie. Był wieczór. Mokra trawa obmywała nogi, — taka bliska pod stopami, także miękka! Szepty w trawie i gwiazdy na niebie, chłód po powietrzu mknący... aż się wspomniały Agacie lata dawne, minione.

Las. Już las. — Jakeśmy do tego lasu prędko zaszły, Cioto Szczegotowo! Już jest las, a za lasem wioska. Przenocujem jeno we wsi, a potem znowu i znowu... na jarmark, na odpust, na święto...

Poprzez takie łąki, poprzez parne lato przechodziły, bywało, wzdłuż i wpoprzek cały kraj. Od lasu do lasu, od wioski do wioski. Przodem zawsze szła Szczegota — żebraczka i wiedźma, stara i milcząca, — ciota. Nieco w tyle poza opiekunką Agata dreptała, — terminatorka djabelska, młoda i brzęcząca, — dziewczyna.

Szły tak razem poprzez lato do jesieni, a pod jesień z pierwszym mrozem do miasta wracały. Na zimowe przedmieście. Tyle lat!...

Ale co ci?.... Ale co ci?... Toć to przecie nie Szczegota, jeno pies!

Prawda, że Cioty już niema, święta prawda, że umarła!... Tylko, że ten pies przy nodze, to wygląda o wieczorze, jakby ludzki cień, cień za człowiekiem idący. Czarny.

— Słuchaj, Hektor! pójdź tu! stój!... Nie chodź dalej! Nazad, Hektor!... Hektor! Hektor! Słuchaj, Hektor! — gdzie twój Pan?

Czarny pies zawrócił, zadrżał i przystanął. Przykucnęła obok niego w trawie, w oczy mu zajrzała i objęła za szyję. — Niema Pana? niema?... Gdzie twój Pan?.. Szukaj Pana, Hektor!

Ale pies nie szuka. Tylko drży. Pragnie coś powiedzieć, słowo jakoweś wymówić... i nie może. Biedny, nieporadny psi pysk! Na całem ciele Hektor drży i pragnie bodaj ślepiami zagadać, wchodzi głęboko w Agacine oczy ślepiami zapalonemi i prosi gorąco.

Agata oczy przymknęła i myśli. — Czego prosi ten pies?... Chce, żeby Panicz wrócił?.. Dlaczego mu źle bez Panicza?... Dlaczego mnie źle bez Cioty?...

Długo, długo wracali do dwora. Oboje zamyśleni. Sługa i pies.

**
*

A coś we środku nocy pies Agatę obudził. Ani warczeniem w pysku, ani błądzeniem po izbie, tylko wzrokiem. Nieruchomo pod ścianą leżał na posłaniu, ale nie spał. Ślepia jarzyły się w nocnej ciemności i wołały do łóżka, do Agaty.

Było czarno. Gęsty mrok kładł się ciężko po ciele, a w mroku ślepia zdaleka szczekały. Bezgłośnie.

Zerwała się Agata, na poduszkach siadła i jęła słuchać, wysłuchiwać ciszy nocnej. — Ty możesz! wołały w ciszy psie oczy. Ty musisz, albowiem możesz!

Przez chwilę zobaczyła w oczach zapalonych Panicza Hektorowego, Łukaszka. Ale to nie był roześmiany Łukaszek w krótkich majtkach i w czapce nabakier, z zębami po czarnych jagodach, z rękami ciemnemi od słońca. — To była zjawa. Widzenie psiej tęsknoty i psiego przywiązania. Pieczęć własności wyciśnięta na sercu. To był Bóg, to był Pan i Kochanek. Hektorowa miłość. Psia choroba.

Dziwnie strasznie ucieszyła się Agata. W całem ciele. Do kości. Poraz pierwszy w swem życiu Miłość zobaczyła. W psich oczach. Był to wrzód, wzbierający boleśnie i rana, którą gdyby naruszyć, rozdrapać....

— Hektor — zawołała, — Hektor! — Gdzie twój pan?...

Doskoczył do niej jednym błędnym susem i załapał zębami za rękę. Wściekle, a jednak łagodnie, — groźnie i przymilnie zarazem.

— Słuchaj no! zakłapały zęby, — nie drażnij! — Jesteś znajoma Agata, sługa mojego Pana, ale ja jestem Pies. — Nie drażnij psa!... Jeszcze raz podrażnisz — to zapomnę! Jeszcze raz zaczepisz — to zagryzę!

Miękko, łagodnie, przyjaznemi chwytami ostrzegały Agatę psie zęby. Była to groźba i pieszczota zarazem. „Nie drażnij!" mieszało się z „dopomóż" — Dopomóż, żeby wrócił! Niech wróci! Ty możesz! Ty musisz, bo możesz!...

Wyrwała dłoń z gorącego pyska i na izbę skoczyła. Do drzwi. — Poszedł pies!... Ale pies nie poszedł. Stał pośrodku izby nieruchomy, a drżący i zębami kłapał i mrużył ślepia jaskrawe. Raz po raz. Oczy przymykał boleśnie, z wysiłkiem, przez gwałt. Mrużył i zaraz otwierał. W ślepiach skakało szaleństwo.

Poszedł dopiero wtedy, gdy za kubeł chwyciła i zimną wodą obrzuciła oczy. Przestraszył się, wstrząsnął i uciekł. Zamknęła za nim drzwi i wróciła do łóżka. — Panicz wyjechał, a pies się wścieknie, myślała zasypiając znowu. Za oknami na dworze wył Hektor.

Niewiadomo, czy z nudy nad codzienną balją, a może z prostej ciekawości?... Może z żalu nad Hektora nieszczęściem, albo z tej jednej jedynej przyczyny, która się zwie: całe życie minione?

Łatwo pytać, — trudno odpowiedzieć, kiedy już się po latach nie pamięta. Nie pamięta Agata, dlaczego tak zrobiła, pamięta natomiast, jaka była te-

go dnia pogoda. — Duszna i słoneczna. Od rana było południe.

Fotografję Jaśnie Pani znalazła z łatwością. W albumie. Zgarnęła też z grzebienia panine wyczeski, jedno z drugiem za bluzkę włożyła i poszła. Do pralni w suterynie, do prania.

Zstępowała po kamiennych schodach powoli i sennie. Strasznie chciało się spać! Nie myślała w tej chwili o Paniczu Łukaszku, że do miasta pojechał, ani o Dobermanie, że go od samego rana Jaśnie Pani uwiązała przy budzie. O niczem chyba nie myślała; — chciało się tylko spać!

Duszno było w powietrzu i aże ciężko z gorąca. Zanurzyła się w mrocznej piwnicy i na brudach przy balji usiadła. Brakło w piersiach tchu.

Rozpięła bluzkę na piersi, a z pod bluzki fotografja wypadła i włosy — wyczeski. Zdziwiły ją te włosy i ta fotografja jakby przed chwilą nie brała ich do rąk, jakby na oczy przedtem nie widziała i nie wiedziała skąd się u niej wzięły za bluzką.

Okręciła fotografję włosami i spojrzała po pralni. Na środku suteryny kubeł stał. Wybiegł do Agaty z pod ściany; na środku pralni przystanął i czeka. Pełen wody. Woda w kuble leży nieruchomo, przezroczysta cała i usłużna. Patrzy gładko, z przymilnym uśmiechem i zaprasza gestem okrąglutkim, — zrębem kubła, jak gościnnem ramieniem. Zastygła cała w tym geście i czeka. Woda czysta.

Ale Agata się waha. Po całej pralni się waha głośne wahadło serca. — Tak — nie, tak — nie, tak...

Jeszcze przed chwilą, jeszcze przed oddechem drżała w ręku fotografja z włosami, a teraz?...

Siadła Agata na ziemi przy kuble i na wodę patrzy, na dno. Nieruchomo na dnie kubła fotografja leży, tylko jeszcze włosy się ruszają. Jak żywe, jak ręce i nogi. Walczą z wodą, miotają się po dnie, ale nie, nie wypłyną! nie wypłyną!...

Na wznak leży fotografja Jaśnie Pani i przez wodę patrzy wdal. Upiornie!

A oto teraz Agata się podnosi. Jak we śnie. Powstaje z ziemi, dźwiga się z nad kubła, — lecz co to? Jakże? Dlaczego?...

Głową przebija pułap suteryny, przenika parter, wznosi się na piętro, strychu dosięga... Tak! Ach, tak!...

Nogami w pralni grzęźnie ciągle, ale piersiami o dach się już oparła. Oparła się piersiami i rękami po łokcie i stoi. Wyższa niż dwór!

Poprzez drzewa w ogrodzie, poprzez stodoły i łąkę patrzy Agata zwysoka i wzrokiem sięga pod las. Pod lasem leżą Dwa Stawy w wąwozie, południe w stawach się przegląda, ludzie maleńcy po brzegach biegają i krzyczą: — Nieszczęście! krzyczą. Nieszczęście!...

Ale co to? Niema lat? Niema słońca i młodości w słońcu? Zawsze w słońcu czuła Agata do głębi swe szesnaście lat, ale teraz — nie. Poza latami się czuje, — ani stara, ni młoda. Na świat patrzy z dali, z wysokości, nad wąwozem, ponad stawem głową kiwa ważnie, poważnie, z głębi jakowegoś nieba, którego nie ma ni w przestrzeni, ni w czasie.

Jakaś maleńka myśl ujada po podwórzu. Hektor. Wyrywa się z budy i z łańcucha i jest bardzo maleńki, gdy tak nań patrzeć zwysoka. — Czarny pył.

Trzeba się zniżyć do tej małej myśli, zwolnić z łańcucha, bo i poco? — Jaśnie Pani przecież zatonęła w kąpieli, a Panicz Łukaszek wróci jutro...

Zniża się Agata, opada i maleje. Z litości. Znowu czuje się cała w suterynie w pralni, na ziemi, nad kubłem, nad wodą. I powróciły wszystkie lata. Szesnaście. *(dok. nast.)* *Jerzy Kornacki*

SYTUACJA GOSPODARCZA POLSKI W ROKU 1932

Głębokie wstrząsy w gospodarstwie światowem w roku 1932, rzuciły silny refleks na życie gospodarcze Polski. Przemysł polski wobec sytuacji materjalnej głównego konsumenta — rolnika i ogólnego zubożenia wszystkich warstw społeczeństwa, jakoteż z powodu rosnących trudności w eksporcie, wywołanych ograniczeniami reglamentacyjnemi i walutowemi dotychczasowych krajów odbiorczych, zmuszony był przystosowywać twórczość do uszczuplonej zdolności absorbcyjnej rynku. Te procesy przystosowawcze wpłynęły wprawdzie częściowo na zlikwidowanie ciążących na rynku zapasów, gromadzonych w nadmiernych ilościach w okresach lepszej konjunktury, spowodowały jednak równocześnie spadek zatrudnienia w szeregu zasadniczych działów. W ciągu roku, t. j. na dzień 31 października 1932, w porównaniu ze stanem z 31 października 1931, liczba robotników w górnictwie spadła ze 132.347 na 109.453, w hutnictwie z 45.763 na 32.127, w przemyśle przetwórczym z 412.249 na 385.703, w warsztatach kolejowych i wytwórniach wojskowych z 54.220 na 52.284, w elektrowniach i wodociągach z 6.956 na 6.879, a na robotach publicznych z 37.123 na 25.480. Powyższe cyfry nie dają jeszcze pełnego obrazu, ponieważ dotyczą zakładów zatrudniających conajmniej 20 robotników.

Duży spadek zbytu i silna konkurencja między poszczególnemi fabrykami zmusiły wytwórców do znaczniejszej redukcji cen szeregu artykułów nieskartelizowanych. Obniżone również zostały ceny niektórych artykułów skartelizowanych, jak cukru, nafty, żelaza (dwukrotnie, ostatnio na 31 grudnia), głównie dzięki interwencji rządu, który spowodował pozatem także dość wydatną redukcję cen artykułów monopolowych — spirytusu, tytoniu i wyrobów tytoniowych. Ogólny wskaźnik cen hurtowych artykułów przemysłowych obniżył się, biorąc za podstawę rok 1927 (100), z 74,5 w listopadzie 1931, do 67,3 w listopadzie r. b., a wskaźnik cen detalicznych w Warszawie spadł z 94,5 na 83,4.

Położenie rolnictwa uległo w r. ub. pogorszeniu wobec dalszego silnego spadku cen ziemiopłodów i artykułów hodowlanych, który przekreśla całkowicie opłacalność produkcji rolnej. Wskaźnik cen hurtowych produktów roślinnych obniżył się z 64,2 w listopadzie 1931 do 46,7 w listopadzie 1932, a artykułów hodowlanych z 56,4 na 50,1. Stosunek spadku, jeśli weźmiemy pod uwagę ceny płacone bezpośrednio producentowi jest jeszcze wyższy.

Rząd, wychodząc z założenia, że stopniowe opanowanie kryzysu w Polsce może nastąpić tylko przez przywrócenie siły nabywczej wsi, podjął zakrojoną na szerszą skalę akcję pomocy dla rolnictwa. Obejmuje ona dziedzinę finansów, między innemi ochronę dłużnika - rolnika przed wierzycielem, ulgi podatkowe, zmniejszenie rozpięcia między cenami pro-

ducenta a pośrednika i między cenami przemysłowemi a rolniczemi, jakoteż szereg posunięć z dziedziny ogólnej polityki handlowej.

Położenie handlu było niepomyślne. Handel, stanowiący pod względem finansowym najsłabszą funkcję gospodarczą Polski, poniósł na swych barkach równocześnie najszersze bodaj konsekwencje kryzysu, a więc kurczenie się obrotów w związku ze zmniejszającą się stale zdolnością konsumcyjną rynku wewnętrznego i rynków zagranicznych, duży spadek cen, zaostrzenie walki konkurencyjnej. Rząd uwzględnił szereg postulatów wysuwanych przez związki kupieckie, a dotyczących dziedziny podatkowej, kredytowej, prawnej i t. p.

Obroty handlu zagranicznego Polski zmalały bardzo poważnie. Całkowity import w pierwszych 11 miesiącach 1932 przedstawiał bowiem wartość 774.419 tys. zł. wobec 1.377.167 tys. w tym samym okresie 1931, eksport zaś spadł z 1.760.779 tys. na 999.842 tys. zł. O takim spadku pozycji wywozu i przywozu, nawet w stosunku do roku 1931, który był już okresem ciężkiego kryzysu — decyduje oczywiście nie tylko spadek ilości artykułów, będących przedmiotem naszego handlu zagranicznego, lecz również i spadek cen. Do skurczenia się eksportu polskiego przyczyniły się ograniczenia reglamentacyjno - celne i dewizowe, stosowane przez poszczególne państwa, do spadku importu zmniejszenie się siły nabywczej konsumenta polskiego i dostosowanie naszej polityki przywozowej z konieczności do polityki państw obcych, w celu utrzymania aktywności bilansu handlowego. Bilans handlu zagranicznego Polski wykazywał w ciągu całego roku saldo aktywne. Za okres 11 miesięcy 1932 wynosiło ono 206.423 tys. zł., gdy w analogicznym okresie 1931 — 383.612 tys. zł. Utrzymywanie się aktywności naszego bilansu handlowego na stosunkowo wysokim poziomie jest zjawiskiem dodatniem, nadwyżka bilansowa stanowi bowiem wobec braku dopływu kapitałów zagranicznych jedyne źródło stałego uzupełniania zapasów kruszcowo-walutowych naszej instytucji emisyjnej i decyduje o równowadze polskiego bilansu płatniczego.

Po siedmiu blisko latach mozolnej pracy poszczególnych ministerstw i sfer gospodarczych, wydana została nowa taryfa celna, która stanie się podstawą przy naszych rokowaniach handlowych z innemi państwami. Wejdzie ona w życie dopiero w końcu października 1933. W ciągu więc niespełna roku, muszą być przeprowadzone układy w zakresie zmiany naszych traktatów.

Kto chce przyczynić się do rozwoju niezależnego i poważnego tygodnika, powinien przysparzać prenumeratorów „Epoce"

Walka z kryzysem w Polsce w roku ubiegłym prowadzona była przedewszystkiem pod hasłem utrzymania zdrowej waluty. Dzięki wysiłkom rządu, Banku Polskiego i społeczeństwa, należymy do nielicznego grona państw, które nie dopuściły do załamania swej waluty. Polityka Banku Polskiego wybitnie deflacyjna, a temsamem niezmiernie bolesna, była jednak konieczna w wytworzonej sytuacji, ochroniła bowiem rynek polski od głębszych wstrząsów w dziedzinie walutowej i kapitałowej, które przechodziły inne kraje.

Wprawdzie rezerwy kruszcowo-walutowe Banku Polskiego, wskutek znacznych płatności zagranicznych skarbu państwa i banków, jakoteż tezauryzacji dolarów i złota, szczególnie silnej w okresie dużych wstrząsów na światowych rynkach przemysłowych zmniejszyły się o 158.5 milj. do 529.9 milj. zł., jednakże dzięki ostrożnej i przewidującej polityce naszej instytucji emisyjnej, która w miarę obniżania się stanu rezerw, redukowała obieg pieniężny i kredyty, stosunek procentowy pokrycia obiegu biletów i natychmiast płatnych zobowiązań Banku kruszcem i walutami, spadł tylko z 48,09% na 31/XII 1931 do 45,56% na 20/XII 1932, a pokrycie wyłącznie złotem podniosło się nawet z 41,94% na 43,11%. Zredukowany obieg banknotów, zrekompensowało po części zwiększenie obiegu bilonu srebrnego i innego z 241,4 do 291,5 milj. zł., tak, że ostatecznie cały obieg pieniężny w Polsce wynosił na 31/XII 1931 — 1.459,7 milj., a na 20/XII 1932 — 1.255,6 milj. zł.

Wycofanie z rynku wielkiej, jak na nasze stosunki kwoty 200 przeszło milj. zł., podyktowane troską o stałość złotego — musiało się odbić niekorzystnie na całokształcie naszego życia gospodarczego i jedynie, wskutek silnego skurczenia się obrotów handlowych i ogólnego spadku produkcji, nie miało groźniejszych następstw.

Jako objaw dodatni podnieść należy pewne upłynnienie rynku, uzewnętrzniające się w zahamowaniu odpływu wkładów i w powrocie tezauryzowanych kapitałów do instytucyj pieniężnych, polepszeniu się płynności banków i poprawie wypłacalności. Dzięki tym objawom Bank Polski mógł zapoczątkować na jesieni akcję potanienia kredytu w Polsce. W dniu 21 października Bank Polski zredukował stopę dyskontową, utrzymującą się na niezmienionym poziomie od 3 października 1930, z 7 i pół na 6%, a oprocentowanie pożyczek lombardowych z 8 i pół na 7%. W związku z tem banki prywatne obniżyły stawki dyskontowe z 11 na 9 i pół %, redukując jednocześnie oprocentowanie wkładów. Uczyniły to rownież banki państwowe, kasy oszczędności i wszystkie inne instytucje pieniężne.

Jak wyżej wspomnieliśmy, zaznaczył się w roku ubiegłym, a ściślej mówiąc, w drugiej jego połowie powrót wkładów. Podczas, gdy bowiem ogólna suma lokat w polskich instytucjach kredytowych obniżyła się z 2686 milj. w końcu 1931 do 2.515,6 milj. na 30 czerwca 1932, to na dzień 30 września wkłady wzrosły do 2576 milj. zł. Największy wzrost przypada na banki państwowe i P.K.O.

Wypłacalność, dzięki stosowaniu dużej ostrożności w udzielaniu kredytu i zawieraniu transakcyj w szeregu branż prawie wyłącznie za gotówkę, jakoteż wskutek skurczenia się obrotów gospodarczych, osiągnęła poprawę. Liczba upadłości zmniejszyła się z 640 w 10 miesiącach 1931 do 473 w odpowiednim

okresie 1932, a protesty wekslowe spadły w ciągu roku z 1.328.3 milj. na 834,6 milj. zł.

W bieżącym roku budżetowym zaznaczył się silny spadek wpływów i rozchodów skarbowych. Dochody za pierwsze osiem miesięcy b. r. wyniosły 1,350.168.000 zł., rozchody 1.491.612.000. Wskutek tego powstał deficyt w wysokości 141,4 milj. zł. W celu pokrycia deficytu z roku poprzedniego i roku bieżącego, rząd zmuszony był uciec się do środków nadzwyczajnych, między innemi do podwyższenia kredytu bezprocentowego w Banku Polskim z 50 na 100 milj. zł. i podwyższenia granicy emisji bilonu z 320 do 396 milj. zł.

Polska, na równi z innemi państwami wchodzi w czwarty rok kryzysu gospodarczego. Rok 1933 dziedziczy po swoim poprzedniku ciężkie przesilenie w przemyśle i rolnictwie, klęskę bezrobocia i zupełny chaos w międzynarodowej wymianie towarowej.

Alfred Wilecki

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Paryski tygodnik „Lu dans la presse universelle" dokonał w ostatnim zeszycie z zeszłego roku roboty niesłychanie ciekawej. Porównał cytaty z numerów pism noworocznych z ostatnich trzech dziesięcioleci. Zestawienie to jest niesłychanie pouczające, bo daje obraz niezmienności zagadnień — z jednej strony, a z drugiej braku zdolności przewidywania, banalności, a nawet głupoty ludzkiej.

Nie będziemy powtarzali tych „zygzaków, wydobytych z prasy całego świata", w całości, ale niektóre z nich jednak warto zacytować.

Witając nowy 1901 rok pisał p. Cornely w „Figaro": — Ostatni rok XIX wieku uświęcił przez organizację międzynarodową nową orjentację umysłów. Mówię o konferencji w Hadze... i utworzeniu międzynarodowej komisji rozjemczej. Wiem dobrze, że wielu ludzi śmieje się z tej instytucji i że jest w modzie uważanie za warjatów tych, którzy na nią liczą...

Ale sam fakt proklamowania, że wojna nie jest sportem, ani przemysłem, ani świętem, że jest potworną klęską, stanowi zwrot do wyższego humanitaryzmu..."

32 lata później znajdzie się niejedną dosłownie prawie powtórzoną cytatę o... Lidze Narodów, o arbitrażu, o Trybunale w Hadze. Dzieli te cytaty jedną od drugiej morze krwi i łez, wylane w latach od 1914 — 1918, nie mówiąc już o innych pomniejszych zatargach.

Najśmieszniej brzmią cytaty z prasy codziennej, tak zwanej apolitycznej i z enuncjacji dyplomatycznych.

U progu 1914 r. p. Ernest Lajeunesse pisze w „Le Journal'u": „Na chwilę, na długą chwilę los zatrzymał swój bieg. Znajdujemy się w uroczym świecie roześmianym, jak gdyby na innej planecie".

Sam Poincaré w d. 1 stycznia 1914 r. w przemówieniu noworocznem użył takiego frazesu: „Spokój został przywrócony na świecie i Francja może żywić nadzieję, że nic go nie zakłóci".

Na łamach „Paris - Midi" w dniu 1 stycznia 1919 r. p. Albert Milhaud takie snuł obrazy:

— Widzieliśmy, jak po zachodniej stronie Uralu armja dobrze dowodzona niweczyła armję czerwoną. Po tej klęsce przyjdą następne. Aby zakończyć z bolszewikami, wystarczy wojsko z pośród tubylców z jednej strony i sąsiadów Rosji z drugiej strony".

Równie śmiesznie brzmią przepowiednie gospodarcze. Znakomity bankier amerykański Paweł Warburg 1 stycznia 1930 r. na łamach prasy angielskiej ogłosił: „Dzięki Bogu ten nieszczęśliwy epizod (kryzys giełdowy) należy już do przeszłości".

Tego rodzaju przewidywań i opinji można wyłuskać z przeglądu „Lu" całe tuziny.

Warto, aby je przeglądali od czasu do czasu różni mężowie stanu i ekonomiści, oraz ci wszyscy, którzy uważają się za jedynych i niezastąpionych.

Takie lekcje ustrzec mogą od wielu ośmieszających błędów i drażniacych fałszów.

Nie brak ich zresztą nigdzie. W jakiej dziedzinie znaleźć ich można więcej? Oto leży przed nami wielki arkusz solidnego dziennika niemieckiego „Frankfurter Zeitung". W długim „berichcie" z Wiednia skrupulatnie i dokładnie wylicza, jakie krzywdy dzieją się 40 miljonom mniejszości narodowych w Europie. Wszystko, co tam powiedziano (nie opuszczono przy tem spraw mniejszości w Polsce) jest prawdą, a jednak całe sprawozdanie jest fałszywe, bo niema w niem ani jednego słowa o losach mniejszości narodowych w... Niemczech.

Tak to już jest przyjęte na świecie. I u nas zdarza się często słyszeć bardzo rozsądne uwagi o losach mniejszości gdzieindziej, ale często nasze wywody czynione są według tego frankfurckiego wzoru.

W sprawie lwowskiej rozległ się szlachetny głos byłych członków Organizacji Bojowej z p. Kwapińskim na czele, głos, który wywołał wzruszające echo ze strony obrońców ukraińskich, ale po za tem... mamy zupełną zgodę p. Zdzisława Strońskiego z p. Ireną Pannenkową na to, że dzieciom ukraińskim trzeba gwałtem kazać odmawiać modlitwy do „Królowej Korony Polskiej".

Będziemy ogromnie zdziwieni i spędzimy na propagandę pruską relacje zagraniczne o strajkach szkolnych dzieciarni ukraińskiej, która się temu, rozporządzeniu (nieznanych autorów) przeciwstawia.

Z powodu aktualnej u nas sprawy autonomji wyższych uczelni, korespondent warszawski „Vossische Zeitung", p. Immanuel Birnbaum pisze m. in.:

— „Niemcy mają i u siebie bolesną sprawę uniwersytecką. Jak dotychczas senaty akademickie walczą tam skutecznie z naporem rozjuszonych studentów—hitlerowskich, którzy od czasu do czasu w Lipsku, w Halle, Berlinie, czy Frankfurcie usiłują wprowadzić w życie swoje teorje o prawach doskonałej rasy germańskiej.

Żadna z uczelni niemieckich, (w których nie brak profesorów - szowinistów) nie ugięła się przed wymaganiami pałkarzy, ale w żadnej z nich nie zawieszono też i nie ograniczono, ani na jotę autonomji.

Znalazł się jeden uniwersytet, który pochylił swój sztandar autonomiczny przed „hackenkreutzem" — uniwersytet wrocławski zawiesił w czynnościach profesora Ernesta Cohna za to, że ośmielił się bardzo ostrożnie, ale życzliwie odezwać się o prawie azylu dla Trockiego.

Ale proszę zastanowić się nad postawą profesury niemieckiej. Setki protestów i listów otwartych piętnują decyzję wszechnicy wrocławskiej!

Ta niepohamowana i szczera akcja w obronie wolności myśli i przekonań stanowi objaw dodający ducha w dzisiejszych czasach.

Zjawiska takie są rzadką odtrutką na pesymizm, któremu dał wyraz w 60-tą rocznicę swoich urodzin pacyfista niemiecki p. Lehmann-Russbüldt.

Przeżył, jak pisze, w ciągu swoich sześciu dziesięcioleci, jak gdyby bajkę z 1001 nocy, od czasów świeczki i techniki nieomal jaskinowej doszedł do elektryczności, telefonu, samolotu i radja.

Czegoż może jeszcze spodziewać się człowiek sześćdziesięcioletni? — pyta p. Lehmann i wylicza różne wynalazki, które mogą czekać ludzkość w najbliższej przyszłości, jak wyzyskanie sił promieniotwórczych, komunikacja z innemi planetami etc.

Ale to nie jest cel istotny ludzkich wysiłków.

Kto dawniej — pisze on — przepowiadał sukces lotnictwa, z tego śmieli się. Ten, kto dziś gorliwie pracuje na rzecz ery bez głodu i bez wojny, musi cieszyć się, jeżeli jest tylko zamknięty w więzieniu, jak Ossietzky (znany pacyfista, redaktor „Weltbühne"), a nie zamordowany jak Karol Liebknecht.

Postępy techniki—żali się Russbüldt, jak gdyby nic nie zmieniły w głupocie i nikczemności ludzkiej. Z tego trzeba sobie zdawać sprawę, aby nie oddawać się złudzeniom.

Ale, pomimo tego trzeźwego sceptycyzmu, p. Lehmann Russbüldt nie zaszył się w kąt i z całą odwagą wszędzie i zawsze zarówno gdzieindziej jak u siebie w kraju zwalcza obłudną etykę hotentocką, stosowaną w życiu i w polityce.

St. Gr.



ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu H. Maurinowi w Turobinie. Zgadzamy się całkowicie.

Panu L. J. w Bydgoszczy. Poruszenie tej sprawy wywołałoby konfiskatę.

Pani Marji Z. w Warszawie. Otrzymaliśmy. Weźmiemy pod uwagę.

Pani Ewie Z. w Kaliszu. Przesłaliśmy p. Jerzemu Kornackiemu.

Pani Leonowi W. w Krakowie. Ocenę tej książki znajdzie Pani w najbliższym numerze „Epoki".

Panu K. W. J. w Baranowiczach. Nie możemy polegać na pogłoskach. Jeżeli się występuje z oskarżeniem, trzeba mieć dowody nie budzące żadnej wątpliwości. Inaczej — łatwo kogoś skrzywdzić, siebie zaś — skompromitować.

Panu M. W. w Sosnowcu. Może i „sensacyjne", ale nie dla nas.

Pani Marji B. w Sochaczewie. Nie wydajemy pisma dla małoletnich.

Panu Janowi Z. w Częstochowie. Ostatnie dwie książki J. Wasowskiego: „Wielkie czasy", i „Herezje", wydane przez księgarnię F. Hoesicka w Warszawie.

Panu Stefanowi K. w Warszawie. Dziękujemy za życzenia.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Wiesław Sten: Jahwe w świetle astronomji i astrologji biblijnej. Studjum biblijne z 144 rysunkami. Nakładem autora. Warszawa, 1933.

„Pod znakiem odpowiedzialności i pracy". Dziesięć wieczorów. Pod redakcją Adama Skwarczyńskiego. Wydawnictwo „Drogi". Warszawa, 1933.

„Świat" i życie". Zarys encyklopedyczny wiedzy i kultury. Tom I, zeszyt 1. Książnica Atlas. Warszawa, 1933.

Leopold Lewin. Kora pisana. F. Hoesick. Warszawa, 1933.

„Kartki z życia". Wydawn. Obywatelskiego Komitetu Pomocy Społecznej. Sekcja Pomocy Matce i Dziecku. Warszawa, 1933.

TREŚĆ NUMERU

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę na I-y kwartał 1933 r.

Czytelnicy, którzy nadeślą przedpłatę, unikną przerwy w otrzymywaniu pisma.

Prenumerata kwartalna — zł. 6. (Konto P. K. O. Nr. 26.630).

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-14 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.